

Magdalena Samozwaniec

***tylko dla
kobiet***

ilustrował
Henryk Sawka

glOb
1990

Zdjęcie na okładkę
NORBERT KOMAN
Projekt okładki
JÓZEF KRZYŻANOWSKI

© Copyright by Wydawnictwo ŚLASK, 1957

ISBN 83-7007-296-8

POKAŻ MI, Z KIM CHODZISZ...

Słowo „chodzenie” nabrało od pewnego czasu posmaku erotycznego. „Oni ze sobą chodzą” — mówiła do gospodyni służąca, zaglądając przez dziurkę od klucza do pokoju sublokatora — „widziałam to na własne oczy!...” To określenie wzięło się zapewne stąd, że zakochani lubią się przed ludźmi popisywać swoją miłością i promenują razem po ulicach i parkach, ażeby ich wszyscy widzieli. Potem trochę się dziwią, że ludzie o nich plotkują, ale „chodzą” dalej. Gdy obiekt naszego uczucia jest udany, lubimy się nim przed naszymi przyjaciółkami popisać jak rasowym psem. „Niech sobie pęka z zazdrości” — myślimy tryumfująco. Trzeba jednak bardzo uważać, z kim się kobieta pokazuje na ulicy lub w kinie, ponieważ to o niej samej dobrze lub źle świadczy. Gdybyśmy nie musiały „chodzić”, mogłybyśmy flirtować nawet z kominiarzem, tym bardziej że taki bezwzględny brunet musi być nie pozbawiony męskiego uroku, ale ponieważ „musimy” się z nim pokazywać w miejscach publicznych, więc uwaga!

Gdy młoda, ładna kobieta „chodzi” z korpulentnym starszym panem, łysym jak kobyła, to już od razu wiadomo o co chodzi. — „Ona jest na jego utrzymaniu” — powiedzą ludziska, chociażby łysy pan był najczarowniejszym z ubogich, skarbnicą inteligencji i cnót wszelkiego rodzaju. Gdy zaś jesteście kobietą w leciech, nie pokazuj się, broń Boże, na ulicy z młodym człowiekiem, chociażby to był tylko uczeń języka angielskiego. Siedzicie w domu, całujcie się między jednym „the-m” a drugim i nie wyściubiajcie nosa poza dom. To co o was ludzie powiedzą, będzie szkodliwe tak samo dla



ciebie, jak dla niego. Pamiętajcie, że zazdrość nie śpi, a czuwa! — „Ona mu przecież finansowo pomaga — powie o was twoja najbliższa znajoma — to chłopak bez grosza!” Nic nie pomoże, że ty, powiedzmy, będziesz żyła tylko z twoich lekcji, a on będzie świetnie zarabiał. Ludzie mają swoje utarte przekonania i nic, nawet fakty nie potrafią ich zmienić. Ponieważ liczba mężczyzn po wojnie zmniejszyła się zastraszająco, więc nauczyliśmy się nie przebierać i co na polu — to... przyjaciel. Widzi się więc wciąż na ulicach parki, w których ona jest na wskroś elegancką damą, od stóp do czub, a on smętnym, zakurzonym pracownikiem w zgniecionym kapeluszu i pocerowanym płaszczu. Całe twoje staranne ubranie przepada wówczas jako efekt kompletnie. Zajeżdżacie razem do hotelu, portier przede wszystkim spogląda na niego i kategorycznie odmawia wam pokoju. W restauracjach i kawiarniach jesteście najpóźniej obsłużeni.

L'habit fait le moine — powiadają Francuzi (w tłumaczeniu: „ubranie robi księdza”). W Polsce, gdzie mężczyźni zawsze mniej dbali o ubranie niż kobiety, mamy zamiast tego przysłowia inne, bardzo nieślusne i szkodliwe: „Nie suknia zdoła człowieka”. — „Nie suknia — westchnęła na to pewna mądra kobieta — ale futro... porządne futro... lub srebrny lis...”

To okropne zaniedbanie naszych panów jest stanowczo winą kobiet. Poleczki myślą przede wszystkim o sobie, o swoich szmatkach i fioczkach. Jak ubrany jest amant, czy mąż, jest im totalnie obojętne. Jeżeli chcecie jednak wyglądać na ulicy dobrze i szykownie, a nie jesteście z gatunku lwów-samotników, lub takichże słoni — dbajcie wpierrw o swojego chłopca czy chłopaka a potem myślcie o sobie. Kobieta, szczególnie w lecie, wkłada na siebie byle kieckę w kwiatki, białe drewniaki i może być dobrze ubrana. Z mężczyzną jest o wiele trudniejsza i kosztowniejsza sprawa. Jeśli jesteś żoną, to wierz mi — wyjdiesz na tym o wiele lepiej, gdy go namówisz, aby zamiast lisa kupił sobie nowy materiał na ubranie. I jak ci będzie błogo na ambitnym sercu, gdy każda z twoich znajomych powie: — „Ach, jaki twój mąż teraz dobrze ubrany, jaki szykowny — nie ten sam człowiek. Widać, że dbasz o niego”. A jeśli jest tylko twoim przyjacielem, bacz przynajmniej, ażeby miał czysty i dobrze związany krawat, sznurowadła nie powiązane na supełki i buty porządnie wyczyszczone. Porwij mu nagle jego zniszczone palto i daj do pralni chemicznej.

Pamiętaj wciąż, że z kim cię widzą — tak cię opiszą.

POŃCZOCHY

Pończocha bardzo często robi nogę tak, jak suknia robi kobiecie figurę. Najładniejsza noga w grubej jedwabnej pończosze koloru zajacowego nie wygląda rasowo. Kobiety wiedzą o tym i dla cienkich gazowych pończoch gotowe są wiele poświęcić. Niestety, owe gazówki pękają przy lada oddechu.

Dużo kobiet cieszy się na sezon letni, ponieważ wówczas ta gnębiąca zmora znika prawie zupełnie. Nie nosi się pończoch i basta! Ale jak długo za to trzeba nogi wywieszać poza okno lub balkon, żeby nabrały koloru, chociażby skóry od bułki! Widok, którym częstują nas zwolenniczki gołych łydek na wiosnę, kiedy nie nabrały one jeszcze koloru, jest tak przykry, że lepiej już dawać oczka do łapania i chodzić dalej w pończochach.

Nic tak wyraźnie nie odzwierciedla naszej sytuacji majątkowej, naszej rezygnacji lub zamiłowania do walki z ubóstwem — jak nogi. Jak często w zamyśleniu spuszczaemy oczy w dół i wówczas te, które nie dbają o nogi, widzą tę naszą poczciwą wierną parę koni, która nas niesie przez życie. Smutne kłody lub patyki, wokół których pałęta się podarta lub brzydtko zacerowana pończocha.

A jakaż satysfakcja spojrzeć na własną nóżkę (nawet jeśli jest nie bardzo rasowa), spowitą w dobrze naciągniętą pończochę, migdałowego koloru, zakończoną ładnym sandałkiem. Macha się wówczas tą nogą, podrzuca się ją, układa jedną na drugiej — mnóstwo zabawy! Myśli osoby, która cieszy się widokiem własnej nogi, muszą być pogodne. — „Jakoś będzie” — powiada sobie i pokazuje kolano.



ROZMOWY PRZYJACIÓŁEK

Skowroneczek śpiewa, słońeczko przygrzewa, kobieta pisząca zabiera się do pracy. Przed nią stoi maszyna do pisania, obok dobra mocna kawa i papierosy. Cisza. Błogo. Nagle dzwonek — wchodzi przyjaciółka Marysia. Ma na sobie nowy kostium samodziślowy i modny kapelusik. Marysia zostawia na moim czole czerwoną kopię pocałunku, po czym czyni to samo na kołnierzyku; by się zemścić za to, postanawiam nie zwracać uwagi na jej nowy strój. Marysia spaceruje po pokoju z ręką na biodrze jak modelka. A ja nic. W końcu załamuje się i wybucha:

— Nie raczyłaś nawet zauważyć mojego nowego samodziślowego kostiumu!

— Ach, rzeczywiście — odpowiadam niedbale.

— I kapelusika — ciągnie dalej Marysia.

— W tym kapeluszu jest ci z roku na rok ładniej...

Marysia zielenieje w oczach.

— Jak to, więc zauważyłaś, że to ten sam co zawsze, tylko przerobiony? Ale przyznasz, że kostiumik pierwsza klasa!

Przyglądam się jej przymrużonymi oczyma.

— Rzeczywiście niezły, tylko coś z tyłu...

— Jakie z tyłu, co za z tyłu! Żadne z tyłu! — Marysia tańczy przed lustrem tarantelę.

— Z tyłu trochę się marszczy...

— To niemożliwe! — jęczy Marysia. — Taki dobry kra-
wiec nie może źle zrobić z tyłu.

— A jednak kochanie ty tego nie możesz zobaczyć, ale jest błąd w plecach... no i to ramię...

Kostiumik leży jak ulał, ale czemu nie ma się przyjaciółki podrażnić. Prędkiej sobie pójdzie. I rzeczywiście, żegna się i odchodzi. Chwila ciszy. Boski spokój — nagle dzwonek! Może listonosz z zaliczką. Idę otworzyć. Zamiast listonosza oczom moim przedstawia się druga przyjaciółka. Helusia. Helunia wszystkiego wszystkim zazdrości. Nawet gdy się jest chorym i leży w łóżku z gorącą flaszką na wątrobie, Helunia wzdycha:

— Jakaś ty szczęśliwa. Możesz spokojnie chorować, ja to nawet na to nie mogę sobie pozwolić.

— Piszesz? — pyta się inteligentnie.

— Nie, skąd, rybki sobie łowię — odpowiadam dowcipnie. Helunia jest o trzy lata ode mnie starsza, ale mówi tak:

— Przez twoje pisanie dostałam kiedyś od ojca po łapach...

— Dlaczegoż to, Heluniu?

— Bo czytałam twoją książkę po kryjomu. Ojciec słusznie uważał, że to nie jest lektura dla młodzieży...

Przygląda mi się bacznie tym babskim oczkiem, które wszystko widzi i po chwili mówi:

— Jak ty się świetnie i młodo trzymasz... z wyjątkiem twarzy...

Jestem tak ciekawa, co jeszcze wymyśli, że nie reaguję na ten subtelny komplement.

— I wiesz — ciągnie dalej — teraz z tą opalenizną to zupełnie jesteś podobna do Egipcjanki!

— Doprawdy? — pytam z niedowierzaniem (dałam się jednak nabrać) — to miło z twojej strony, że mi to mówisz.

— Tak — ciągnie Helunia — taką samą mumię widziałam w Anglii przed wojną w British Museum!

Uśmiecham się pobłaźliwie. Muszę dziś wyjątkowo dobrze wyglądać, skoro moja kobietka mówi mi takie rzeczy.

— Ach — wzdycha po chwili — ludzie tak na ciebie wygadują, a ja zawsze bronię i mówię im tak: „Możliwe, że kiedyś żyła zbyt wesoło i flirtowała na prawo i lewo, ale teraz, kiedy przestała mieć u mężczyzn powodzenie, to za-



ręczam wam, że jest najcnotliwszą osobą pod słońcem... A któż może o tym wiedzieć jak nie ja, jej najlepsza przyjaciółka”.

Cierpliwość ma swoje granice, nie mogę w żaden sposób pozostać w tyle, więc przyglądam się jej przeciągle i mówię:

— A wiesz, Heluniu, że ty coś bardzo utyłaś...

— Co? Ja utyłam? — zrywa się jak ugryziona i zaczyna biegać od lustra do lustra. — To niemożliwe — krzyczy — przecież ja ważę teraz tylko 58 kilo.

— Na pewno ważysz więcej... — jest tu waga osobowa, chodź, zważymy się.

— Nie, nie, nie warto... Zresztą muszę już iść.

— Siądź jeszcze na chwileczkę, kochanie — zapraszam ją perfidnie, ponieważ jeszcze nie wyczerpałam mojej porcji trucizny.

— Wiesz, w takim jestem dziś świetnym humorze, bo mój mąż kupił mi dwa cudowne, spasione polarne lisy...

— Dlaczego aż dwa? — pyta Helunia białym matowym głosem — sądzę, że tobie wystarczyłyby w zupełności jeden...

— Wiesz, on jest taki zabawny, słyszał jak młode matki mówią, że jedno dziecko źle się chowa i że należy mieć drugie dla jego towarzystwa, więc uważał, że z lisami jest podobnie...

Z całą satysfakcją patrzę, jak moja trucizna działa. Helunia wykonuje jakieś nerwowe ruchy, zapala jednego papierosa, rzuca, sięga po drugiego — w końcu prosi o szklankę wody.

— Źle się dzisiaj jakoś czuję... — mówi bladym głosem — najlepiej będzie, jak pójdę do domu troszkę się położyć.

Ostatnia tego popołudnia przychodzi Kicia. Kicia to znowu typ małej szabrowniczki. Chodzi, szuka, myszkuje, chciałaby coś pożyczyć, coś zwędzić.

— Skąd ty masz tę powieść? Nigdzie jej już nie można znaleźć! Pożycz mi, tylko na jedną noc!

Wiem z doświadczenia, że kobiety nigdy książek nie oddają, w czym naśladują po trochu mężczyzn, więc odmawiam stanowczo.

— Będzie za chwilę padać — ciągnie dalej Kicia — pożycz mi, proszę, twój parasol.

— Mowy nie ma — odpowiadam szczerze — bo mogę go sama potrzebować.

— No to pelerynę od deszczu.

— Ani peleryny ci nie pożyczę, byłoby tak jak z tym swetrem, co to już go później nigdy nie zobaczyłam...

— Ach, to było zupełnie co innego! Nie oddałam ci go, to prawda, ale za to powiedziałam, że to będzie prezent od ciebie dla mnie na moje nadchodzące imieniny. No i był, jak znalazł!

W tym momencie wchodzi mój mąż. Kicia, urodzona szambrowniczka, rzuca się na niego i bezceremonialnie bierze pod ramię:

— Panie Dudusiu, niech pan pójdzie ze mną do kina! Ty — tu zwraca się do mnie — nie możesz iść z nami, bo musisz pisać.

Mąż, jak mąż, mówi, że owszem, że bardzo chętnie. Trudno, nie jest ani książką, ani parasolem, ani peleryną, ażeby go Kici wyrwać z ręki.

Czy myślicie, że mam może żal do tych trzech miłych istotek, że mi zabrały tyle czasu, a jedna z nich nawet męża do kina? — Bynajmniej. Każda z nich zostawia mi materiał — oczywiście pisarski.

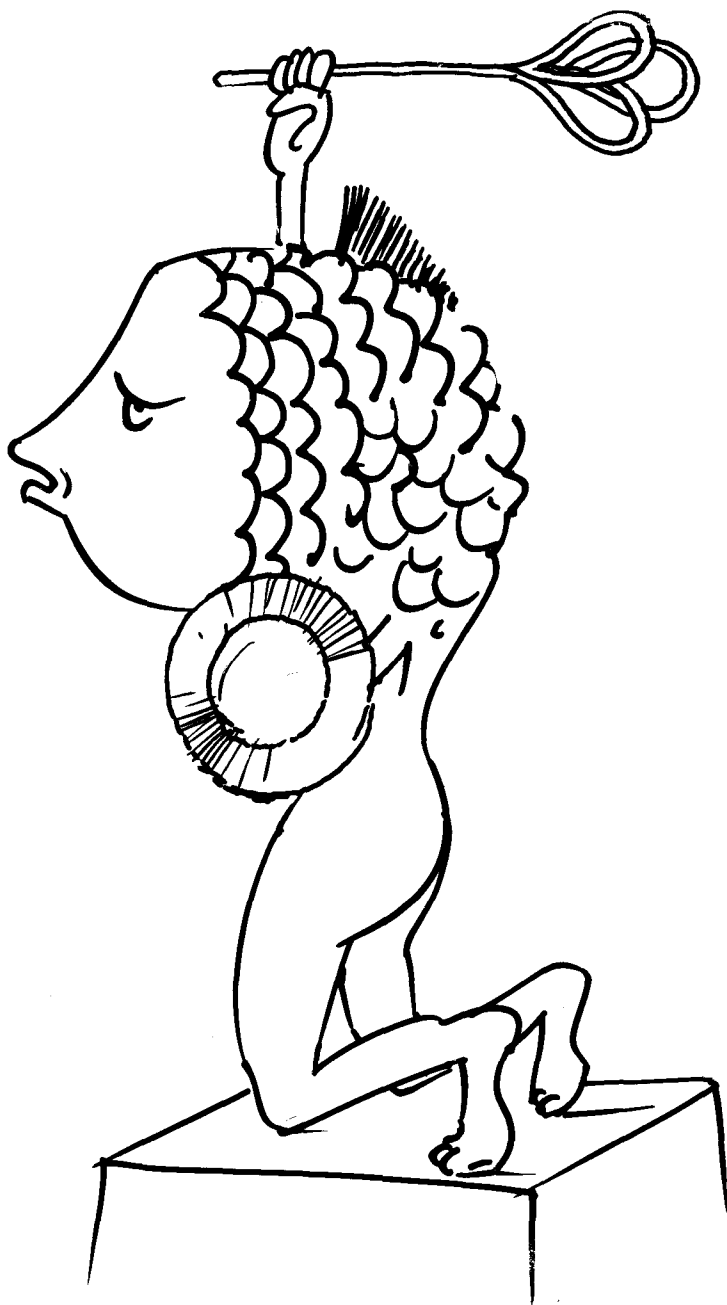
No i jak tu kobietek nie kochać!

DUSZA ZBIOROWA

Istnieje piękna bajka Andersena, mądra i głęboka jak wszystkie jego bajki, o syrenie i pięknym królewiczu. Syrena z miłości do pięknego królewicza chce stać się kobietą, jak prawdziwe kobiety, to znaczy, pragnie mieć ludzkie nogi. Idzie więc do starej czarownicy, a raczej podpływa do jej koralo-wego domku. Czarownica daje jej czarodziejski płyn, po zażyciu tego płynu mają jej wyrosnąć piękne kobiece nóżki. Niemniej czarownica ostrzega ją, że przecierpi bardzo dużo, nim się nauczy na nich chodzić, i że aby stać się człowiekiem, trzeba poświęceń i ofiar. Nie będzie już swobodnie i bezmyślnie pływać pod powierzchnią morza, nie będzie prowadzić beczynnego żywota z siostrami swoimi, wygrzewając się na morskiej skale i śpiewając z nimi kliwne piosenki. Być człowiekiem to ciężka i trudna sprawa — ostrzega ją mądra czarownica.

Czyż analogiczna sprawa nie jest z duszą człowieka? Czy żeby ją zdobyć, nie trzeba cierpień, ofiar i pełnej wsiłku pracy nad sobą? Absolutnie nie wierzymy, ażeby duszę każdy posiadał. Określenie pełne głębokiej mądrości: „bezduszny” lub „bezduszna” poucza nas o tym wyraźnie. Indywidualna dusza to coś jak nogi syreny, natomiast do „duszy zbiorowej” może należeć każdy pospolity i małej wartości człowiek.

W pierwszym rzędzie kobiety, i to nasze najbliższe znajome, dają dowód, że taka dusza zbiorowa istnieje. Z matematyczną ścisłością można obliczyć, jakie u nich nastąpią reakcje i co na dany temat będą ci miały do powiedzenia. Weźmy najprostszy przykład: ażeby zrobić przyjemność naszej znajo-



mej, która ma ładną i świeżą cerę, pytamy się jej, co na to robi i jakich używa kosmetyków.

— Ja? — odpowie ci na to — jaa? Nic absolutnie nie robię. Co wieczór myję twarz zwykłym mydłem do prania i gorącą wodą. Gdy jej się powie, że ma świetnie zrobioną „trwałą” — odpowie, że jej się włosy same kręcą od urodzenia, że rude były zawsze i nawet w szkole przezywano ją „rudzielcem”. Najnowsza suknia to stara przedwojenna, tyle że z prawdziwego francuskiego jedwabiu, nie do zardcia.

Jeśli chodzi o sprawy dzieci, to już mamy stuprocentową pewność, że jedna powie ci zupełnie to samo co druga i dzieciąta, że daje Pan Bóg dzieci, daje i na dzieci, że należy mieć dwoje, bo jedno się źle wychowa nie mając towarzystwa itd.

Czasem przedstawicielki „duszy zbiorowej” starają się być głębokie i bardzo inteligentne.

Wtedy mówią tak:

— Jakie to dziwne, że ludzkość z jednej strony pracuje nad wynalezieniem różnych środków leczniczych mających na celu przedłużyć życie ludzkie, a z drugiej głowi się nad straszliwymi, śmiertcionośnymi wynalazkami wojennymi, dążącymi do zagłady całej ludzkości. Jaka w tym jest logika?

Wypuściwszy tego rodzaju głębokie spostrzeżenie są najzupełniej pewne, że je same wymyśliły, a tymczasem powiedziało to zdanie przed nimi kilka tysięcy ich koleżanek ze zbiorowej duszy kobiecej. Prawdopodobnie przy wielkiej uwadze, kontroli osobistej i usilnej pracy nad sobą można wyjść z duszy zbiorowej, uzyskać — po latach — duszę indywidualną.

JEDZENIE

Mieszkańcy wysp Triobriandzkich, których znamy z opisów profesora Malinowskiego, uważają jedzenie za najnieprzyzwoitszą funkcję fizjologiczną. Gdy na wyspie odbywa się dancing-monstre wraz z wykwinną wieczerzą, każdy z biesiadników bierze sobie na liść porcyjkę żarcia i idzie z nią gdzieś dalej w krzaczki, ażeby drugich nie razić widokiem owej nieprzyzwoitej funkcji.

Jak mało z nas je ładnie. Jedni jedzą łakomie i żarliwie (ci przynajmniej są szczerzy), drudzy (specjalnie krawcowe, szyjąc po domach, zyskują w ten sposób na czasie) wolno, niedbale z głową podpartą jedną ręką niby „że jej jedzenie nie dziwne”. Inni znów bawią się nożami i widelcami (takich „nożowników” znamy bardzo wielu). Ale najgorsi ze wszystkich są może jedzeniowi wykwintnisie. Ci stale miewają jeden palec zagięty do góry — po co? — i dłubiąc w zębach zasłaniają się serwetą.

Dawniej rodzice specjalną uwagę zwracali na sposób jedzenia swoich dzieci i urządzali im przy stole taką piłę, że jedzenie to nie mogło im wyjść na zdrowie. Nie należy po prostu przesadzać. Dziś przesada idzie w odwrotnym kierunku, rodzice tak są zajęci swoimi problemami pieniężno-zarobkowymi, że w ogóle na sposób jedzenia swoich dzieci nie zwracają uwagi. Sami zresztą uczą je jak najgorszych manier. Tato — zaraz po zupie zapala papierosa, mama — zamyślna, melancholijnie wpatrzona w pejzaż dłubie w zębach bez powodu, dziadek w obrzydliwy sposób kapie sosem po sobie, ciocia kręci kulkę z chleba tak długo, póki zupełnie nie

szczernieje (kulka, a nie ciocia) i wówczas (straszny obyczaj) daje ją do zjedzenia psu, który waruje pod stołem. Wujek je z jedną ręką zwieszoną do podłogi, no a potem, jeśli na przykład są na obiad szparagi lub młode ziemniaczki, zaczyna się między czułymi rodzicami śliczna odmiana „ping-ponga”. Żona wybiera najroślejszego szparaga i kapiącego masłem przerzuca na talerz męża. — „Ależ, kochanie — mówi kochający małżonek — co ty robisz? Ja właśnie zostawiłem go dla ciebie!” — i znów przekłada go na talerz żony. A dzieci korzystają z tego, że rodzice są zajęci grą w spożywczego „ping-ponga”, wydzierają sobie z talerzy co lepsze kąski, kapiąc się przy tym pod stołem.

Niektóre pobożne panie domu żegnają się znakiem krzyża przed jedzeniem. Pochodzi to jeszcze z czasów, kiedy w rodzinach, szczególnie królewskich, wsypywano sobie do jedzenia truciznę. Ażeby szkodliwe skutki trucizny znihilować, wołały pobłogosławić niepewne produkty spożywcze. Dzisiaj, w czasach tak hojnie nam udzielanej kiełbasy „belgijskiej” i „turystycznej”, znak krzyża przed zaczęciem posiłku jest znów aktualny.

Na proszonym obiedzie lub kolacyjce należy się zachowywać zależnie od tego, do kogo się zostało zaproszonym. Jeżeli państwo domu są zamożnymi kutwami, można jeść śmiało za dwoje i co chwila wesołym tonem żądać jeszcze jednego kieliszka wódki. Gdy natomiast jest się proszonym do ludzi oszczędnych z braku odpowiednich funduszków, absolutnie nie należy mówić po skończonym posiłku: — „Ale chlebuś był znakomity” — albo, porwawszy ze stołu karafkę z zimną wodą, zawołać ironicznie: — „No, teraz pijemy zdrowie gościnniej pani domu”.

Chwalenie każdej potrawy po kolei nie należy do zbyt dobrego tonu. Obserwując jedzeniowych snobów, można zauważyć, że z pochwałami pod adresem kuchni czekają aż do leguminy: — „Ale doprawdy — mówią — takiego kremu truskawkowego to chyba w życiu nie jadłem, może tylko...

w Paryżu u ...” — i tu cytują jakąś najdroższą restaurację, którą tylko znają chyba ze słyszenia.

Morał: przy pewnej kontroli siebie i swoich dziątek funkcja jedzeniowa może nie być funkcją tak nieprzyzwoitą, jak to się zacnym Triobriandczykom wydaje.

COŚ NIECOŚ O LODOWNI

Gdy kogoś bardzo kochamy (oczywiście mówi się tutaj o mężczyźnie), nie trzymajmy go w zbyt wielkim cieple. Mężczyzna to ciało, ciało to mięso — *ergo*, mięso się w cieple psuje. Do lodowni na jakiś czas chłopaka, a zobaczymy, jak nam się świetnie zakonserwuje. Przyznajmy, że wkładanie do lodowni obiektu naszych uczuć nie jest zadaniem łatwym. Serce kobiety to źródło nieustającej czułości, kapie z niego demonstracyjnie miłość jak mleko z dziurawego garneczka. Dogadzać kochanemu mężczyźnie, ciągle mu coś podawać, to siebie, to ulubioną potrawkę, to kawcię, to okładzik ciepły na brzuszek — oto rozkosze, których kobieta nie może sobie odmówić. A jednak, jednak historia nie wspomina nigdzie o tym, żeby dla aniołów dobroci i wyrozumiałości ktoś popełnił samobójstwo lub nawet pojedynekował się. Powiedzmy sobie szczerze, że żadne stworzenie boskie tak się mało nie nadaje do adorowania jak właśnie mężczyzna — ale któraż kobieta to zrozumie! Chcecie za własną miłość otrzymywać wdzięczność bezgraniczną, sprawcie sobie psa. Chcecie mieć obiekt do ciągłego głaskania, wpuście do domu kotkę. Mężczyźnie kobieta, która go uwielbia, troskliwie o niego dba, zanadto przypomina własną matkę. Ta troskliwość i dbałość odbiera jej dużą część jej kobiecego czaru. Zaczyna do niej mówić: „mamusiu” — i traktować ją podobnie.

— Mamusiu, zaceruj mi skarpetki! — Mamusiu, zanieś moje ubranie do krawca — Matka, daj nam zagrychę!

I w ten sposób młoda kobieta, która ma raptem jedno dziecko, staje się *de facto* powoli matką dwojga dzieci: małej na przykład dziewczynki i dojrzałego obrośniętego figlarza.



- Mamuś, tak mnie dzisiaj głowa boli...
- Boli cię, bo wczoraj piłeś, zażyj sobie proszek aspiryny...
- Życie mi tutaj zbrzydło, wyjadę gdzieś na Zachód, dość mam ciebie i tego życia tutaj...
- Proszę cię bardzo. Czy mam ci kupić bilet w Orbisie?
- Muszę sobie znaleźć jakąś inną babę, nie można przecież ciągle tkwić przy jednej...
- Świetnie się składa, bo ja też mam już ciebie zupełnie dość!

Tak mniej więcej powinno wyglądać wkładanie mężczyzny do lodowni. W dziewięćdziesięciu procentach na sto, przynosi ono bardzo dodatnie rezultaty.

Spójrzcie na wasze znajome — tylko te rozgrymaszone i niezdolne w domu, wymagające i trochę flirtujące na boki — są przez swoich mężów naprawdę kochane. Więc zmieńcie system i przestańcie obrośniętemu figlarzowi dogadzać.

- Matuś, przyszyj mi guzik.
- Nie mam czasu, przyszyj sobie sam, potrafisz to świetnie zrobić.

GDZIE MOGĄ BYĆ KLUCZE?

Przychodzimy do naszej znajomej z wizytą. Mamy tylko chwilę czasu, bo jesteśmy przecież ludem pracującym, chcemy koniecznie opowiedzieć, jak było na imieninach męża, kto się zalał w pestkę, kto w perełkę, jaka pani „chodziła na rżęsach” i z jakim panem. Ledwo zaczęliśmy ową pasjonującą rozmowę, która w szczególności powinna była zająć naszą znajomą, kiedy ta zrywa się z kanapy jakby ją pchła ugryzła i woła w stronę męża: — „Czy nie widziałeś gdzie moich kluczyków?!”

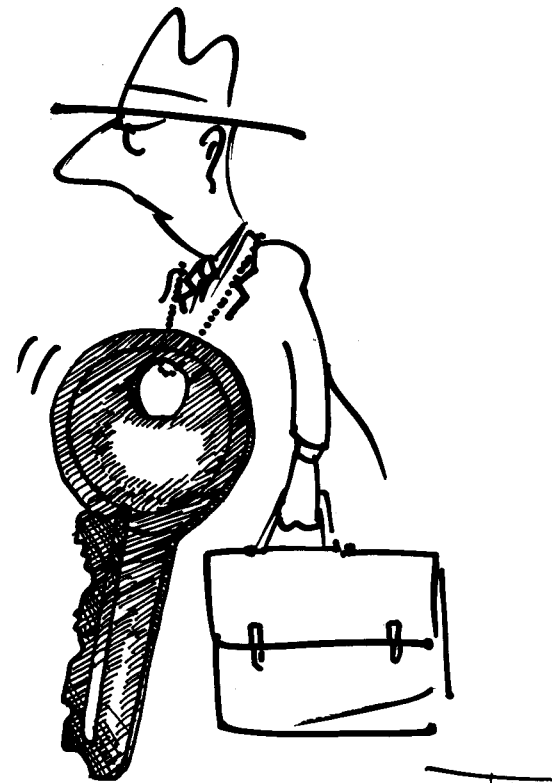
— Miałaś je przed chwilą — odpowiada spokojnie mąż.

Pani domu zwija się jak glista ze świeżo rozkopanej ziemi, wsuwa ręce za siedzenia foteli i kanap, biega tu i tam i woła: — „No właśnie — miałam je przed chwilą, wszyscy widzieli, a teraz jak w wodę wpadły i nie ma kluczyków!” Zaczyna się więc gwałtowne szukanie. Goście, ażeby jej zrobić przyjemność, też szukają, chodzą po podłodze na czworakach, włączają na szafy i za szafy — a kluczy jak nie ma, tak nie ma!

— Czy one są ci teraz koniecznie potrzebne? — bada łagodnie mąż cierpliwym tonem lekarza chorób umysłowych.

— Nie, teraz mi nie są koniecznie potrzebne — jęczącym tonem mówi pani domu — ale mam przecież wszystko zamknięte, nie będzie kolacji, nie będzie obiadu, nie będzie śniadania. Boże, mój Boże! co ja pocznę bez moich kluczyków!

Nie radzę wówczas powiedzieć takiej nieszczęśliwej: — „Możeś je gdzie zostawiła... u znajomych... w sklepie... przypomnij sobie dobrze” — bo można rozpętać straszliwą burzę. Ja sama w takim wypadku, gdy mi ktoś z domowników



powie w najlepszej intencji: — „Może kapelusik zostawiłaś w sklepie spożywczym, gdzie kupowałaś masło...” — wpadam w szal!

To, że nam się chwilowo jakiś przedmiot zagubił, nie obchodzi absolutnie nikogo prócz nas samych. Poza tym już stary Mulford wiele pisał o „złośliwości przedmiotów martwych”. Przedmiot absolutnie bawi się z nami w ciuciubabkę i cieszy się okropnie gdzieś w kącie, w którym schowany, rechoce z naszej bezsilnej złości. Jedna jest na to rada: nie zwracać absolutnie uwagi na śmiejący się z nas przedmiot. Zgubiłeś się — trudno — musisz się znaleźć za chwilę. Ale tę filozoficzną rezygnację miewają czasem tylko mężczyźni, kobiety prawie nigdy!

Jedne przedmioty są mniej „gubne” — inne więcej. Do „najgubniejszych” można zaliczyć spinki, klucze i szklane cygarniczki. Cygarniczki specjalnie są ruchliwe i żywotne. Przysięgłoby się, że się głupią lufkę położyło w określonym miejscu na stole, a tymczasem ona zdążyła zeskoczyć na podłogę i złośliwie czeka, ażeby ją tam ktoś obcasem rozdeptał. Jedna moja znajoma zrobiła z cygarniczkami eksperyment i naraz zakupiła ich dziesięć.

Po godzinie wszystkie porozbiegały się po kątach i nie można było znaleźć ani jednej.

Poza tym pamiętajmy, że od szukania umiera się. Naturalnie, że to jest może określenie przesadzone, ale że okropne zdenerwowanie i zmęczenie towarzyszące szukaniu zagubionego przedmiotu nie działa dobrze na serce — to na pewno!

PRZYKAZANIE

Analizując to boskie przykazanie „Czcij ojca twego i matkę twoją, ażebyś długo żył i ażeby ci się dobrze powodziło”, musimy się trochę zdziwić, a w każdym razie zastanowić. Jakżeż? To co powinno być naszym najpierwszym i najświętszym obowiązkiem serca, wymaga nagród doczesnych? Dlaczego żadne inne z przykazań nie obiecuje nam takich sowitych nagród za wypełnienie ich jak właśnie to? Rzecz warta zastanowienia. Czyżby było najtrudniejsze? Zdaje się, że tak. Już w Biblii spotykamy wypadek, kiedy synowie naśmiewali się z papy Noego dlatego, że zalał się na perłowo i w dodatku leżał goły jak go Pan Bóg stworzył. Jeżeli jesteś matką, droga czytelniczko, i to matką dorosłych dzieci, powinnaś im o tej nagrodzie doczesnej przypominać, bo młodzież, a zwłaszcza dzisiejsza, nie tylko że starszych nie szanuje, ale się z nich chętnie „nabija”.

— Podejźmy „starego” — mówi o ojcu syn do swoich kolegów — powiem mu, że potrzebuję pieniędzy na książki szkolne, a my sobie tymczasem kupimy wódki i pojedziemy z koleżankami do lasu — byczo będzie!

Dorosła córka ma dla swej matki uśmiezek litościwy, pełen wyższości. Co tam mama wie, co tam mama umie, nie zdała przecież matury, nie ma pojęcia o niczym, stara ignorantka! Mama jest jakąś, bardzo zresztą w domu pożyteczną maszynką do gotowania, cerowania, łatania. Raz jest „elektroluksem”, który dom utrzymuje w porządku, raz elektryczną maszynką do kawy. Zakłada się ją do kontaktu, to znaczy — mówi się jej „mamo, zrób to i owo, zagotuj wodę, usmaż

jajecznicę” i poza tym niewiele się z nią ma wspólnego. Rozmowy nie ma przecież z nią żadnej. Jest nieraz maszynką do robienia pieniędzy tak jak ojciec. Jest krawcową albo fryzjerką, haruje od rana do wieczora, jest zmęczoną nauczycielką. A pannica chodzi na uniwersytet, bo i jakżeby nie! Wyższe wykształcenie to grunt, „uczęszcza” do kina, na plażę z chłopakami, wyciąga od rodziców forszę i traktuje ich na ogół tak, jak młoda żona starego męża, który ją utrzymuje. Okłamuje ich więc na każdym kroku, nabiera, zaśmiewa się w duchu z ich naiwności, klepie ich protekcyjnie po ramieniu i gra na ich adoracji dla jej osoby. Znam córeczkę, która na wszystko, co do niej matka mówiła, odpowiada stale zdawkowym: „dobrze, dobrze”...

— Nie wracaj późno do domu.

— Dobrze, dobrze...

— Dokąd idziesz, kochanie?

— Dobrze, dobrze...

— Czy to koleżanka, ta panienka, z którą idziesz?

— Dobrze, dobrze...

Poza tym, rzecz najgorsza, gdy pną się po drabince społecznej wzwyż, zaczynają się wstydzić swoich skromnych rodziców. Młoda studentka medycyny nie przyzna się kolegom, że jej ojciec jest krawcem lub matka fryzjerką. Chodzi ubrana jak lala, w kostiumie uszytym przez ojca krawca lub w świetnych butach zrobionych jej przez papę szewca, ale się do tego nie przyzna.

— Cóż ty masz za wspaniałe buty! — zawoła koleżanka.

— Mam takiego jednego małego szewca, który je zrobił za lekcje, które dają jego córce...

Uczą się wszystkiego, naturalnie języka angielskiego i strasznie się śmieją, gdy ojciec otwierając nową talię kart przeczyta na karcie przedstawiającej „dżokera”, tak jak się pisze: „the jolly jockey”. Rodzicom te mądre dzieci bardzo imponują, liczą się z nimi, jak młodzież z panem profesorem, boją się przy nich odezwać, ażeby nie strzelić byka, są wobec nich mali i słabi. Dopiero gdy mądra, wykształcona córka

urodzi dziecko i nie ma pojęcia jak się do noworodka zabrać, bo przecież tego na uniwersytecie się nie wykłada, wtedy znowu mama jest jedyna i raptem najmądrzejsza!

HISTERYCZKA

Znamy ją wszyscy dobrze! Gdy posiada ładne białe zęby, to wciąż się śmieje — mówi o pogrzebie swojego brata i dusi się ze śmiechu — nie zawsze możemy jej wtórować, bo nie zawsze mamy odpowiednie do tego uzębienie i wówczas sytuacja jest nieco krępująca. Czasem znów, rozmawiając z nami, przybliży swoją twarz do naszej, cofasz się, a twarz się coraz bardziej do ciebie zbliża. W zaawansowanych wypadkach hysterii miewają nerwowe ticki i bez powodu trzęsą przecząco głową. Jeden bridżysta przegrał grube złote, grając raz z taką trzęsigłówką.

Mówi „bez atu” — ona przecząco trzęsie głową, mówi „kolor” — ona znów trzęsie. Dopiero po robrze zorientował się, że to nie były znaki porozumiewawcze, tylko nerwowe.

Najłagodniejsza forma kobiecej hysterii, to plecenie i bredzenie, spotyka się te objawy u naszych znajomych bardzo często. Opowiadają „stworzone” historie, zazwyczaj o sobie:

— Pani jest całkiem podobna do Mony Lizy — mówi jakiś znawca przyglądając się łagodnej, słodkiej osobce wyskubanej pod względem brwi.

— Każdy mi to mówi — odpowiada opuszczając powieki — ale to przecież nic dziwnego. Wiem, że byłam Moną Lizą i pamiętam, jak mnie Leonardo malował. Był to człowiek, któremu żadna kobieta, nawet ja, nie mogła się oprzeć...

— Śniło się to pani?

— Nie potrzebowało mi się śnić, pamiętam to dokładnie z mojego przeszłego życia...

Inna znów histeryczka, bredząca z czarującą swobodą, opo-



wiadała kiedyś, jakie to jej się dziwne rzeczy w życiu przytrafiają. Kiedyś zjawiła się Maria Konopnicka, „namawiała mnie do pisania, masz talent” — mówiła — „taka była prosta, bezpośrednia... A raz wpadł do jej pokoju przez okno gnom, taki mały krasnoludek. Myślała, że to nietoperz, bo mieszkała wówczas na wsi i bardzo się złękła, ale na szczęście to był taki malutki, malutki człowieczek z brodą taką siwą, że

aż prawie zieloną. Musiał być bardzo stary, wyglądał co najmniej na siedemdziesiąt lat...”

Ten rodzaj histeryczek jest w towarzystwie bardzo rozrywkowy, a ponieważ o wiele szybciej mówią niż myślą, więc też czasem powiedzą niechcący dobry kawał, tak jak ostatnio jedna właścicielka pensjonatu, znajdującego się w pewnej górskiej miejscowości:

— No proszę pani, ludzie gremialnie wyjeżdżają nad Bałtyk, a tu przecież po wczorajszej ulewie była taaaka ogromna kałuża przed domem...

Histeryczne kobiety mają wiele zalet, nagle zapalają do drugiej kobiety entuzjastycznym uczuciem i wówczas skłonne są nawet pożyczyć jej pieniędzy. Komfort ten nie trwa jednak długo, bo po jakimś czasie spodoba im się bardziej inna i wówczas kategorycznie żądają zwrotu pożyczki, a świadczenia czułościowe w formie listów pełnych komplementów i małych prezencików przerzucają również na ów nowy obiekt. W domu są raczej uciążliwe, a w mężu wzbudzają lęk połączone z szacunkiem. Z żadną normalną kobietą mąż się tak nie liczy jak z kobietą-histeryczką. — „Muszę już wracać” — mówi małżonek histeryczki spoglądając na zegarek — bo ona będzie się o mnie bała...”

Na zakończenie dodamy, że histeryczki boją się wielu normalnych rzeczy, jak: burzy, myszy, pająka — natomiast nie boją się zupełnie objawów nadprzyrodzonych, z którymi są najzupełniej zżyte...

SZTUKA ODCHODZENIA

Jest to bezwzględnie jedna z najtrudniejszych sztuk: odejść w samą porę, nim to jeszcze w umyśle naszych bliźnich powstanie. Najtrudniejszą naturalnie rzeczą jest odejść pierwszemu z miłości. I tego kobiety absolutnie nie potrafią. Miłość niejednokrotnie przyrównywano do choroby. Należy dodać dla ścisłości, że jest to choroba, podczas której „chorzy” zazwyczaj kładą się do łóżka. Ale oto zdarza się zwykły wypadek, że jeden z chorych już wyzdrowiał, chce wybiec na dwór, chce pałaszować kotlety w wesołym towarzystwie, pragnie znów używać życia i nie być na uwięzi. A tu „chora” zatrzymuje go przemocą — posiedź przy mnie — powiada — pogłaskaj mnie po chorej głowinie, poklep po chorym sercu, pocałuj w chore miejsce, nie odchodź, będę się bez ciebie nudzić, chwili żyć bez ciebie nie potrafię, przecież musisz to zrozumieć... Uzdrawieniec wymyśla tysiące powodów, żeby się od „chorej” uwolnić. A to koledzy, a to ważne posiedzenie, a musi iść załatwić interes, a musi iść na mecz... Chora płacze. Uzdrawieniec wobec tego zostaje, ale jest zły, smutny, ziewa, gdy mu się mówi o miłości, ze złośliwą satysfakcją obserwuje „chorą”... — „Nie płacz — zauważa — bo paskudnie wtedy wyglądasz...” — „Strasznie jesteś mizerna... Wyjdź nareszcie z tego łóżka... lepiej się będziesz czuła, jak zaczniesz chodzić... popatrz na mnie: odkąd wyzdrowiałem, jestem innym człowiekiem, ale na to trzeba silnej woli, której ci brakuje...” A „chora” znów w bek! Zdrowy pogardza chorym, nie należy o tym zapominać! Aby także wyzdrowieć i odejść, trzeba mieć niezmiernie dużo silnej woli, och, nie przychodzi to

łatwo, wiemy o tym wszystkie. Należy wówczas na pomoc wziąć najczulszy z naszych organów — ambicję: Należy ją podsycać, przypominać jego zjadliwe, uszczypliwe powiedzenia skierowane pod naszym adresem, jego ziewne milczenia i zimne pocałunki. Zdrowi są tak brutalni!

Należy umieć odejść w porę, nie tylko gdy chodzi o miłość, ale również z każdej wizyty, dansingu, gdy się widzi, że bractwo zaczyna mieć zanadto „w czubie” (powiedzenie, które obecnie powinno się stosować raczej do kobiet, ze względu na modne fryzury), z teatru lub kina, gdy się widzi, że dalszy ciąg będzie jeszcze nudniejszy.



POGAWĘDKA

— Przyszłam do was na pogawędkę — mówi nasza znajoma i pakuje nam się do pokoju. Oboje państwo wrócili właśnie ze swoich zajęć, on wygodnie położył się na tapczanie i czyta gazetę, ona gotuje na maszynie dobrą kawę i cieszy się, że ją sobie z mężem we dwójkę wypiją. Każde z nich, widząc cię rozanieloną własnym pomysłem „wpadnięcia na pogawędkę”, klnie w duszy na czym świat stoi. „Psiakrew, psiakrew, co za nieszczęście” myślą oboje — mówiąc oczywiście co innego: — „To bardzo ładnie z twojej strony, że przyszłaś nas odwiedzić...”

Do powiedzenia nie masz absolutnie nic ciekawego i sama nie wiesz po coś przyjechała. Ty nie wiesz, ale ja ci powiem. „Obiecali się” do ciebie „nie na pewno” bardzo nudni goście, więc wolałaś na wszelki wypadek uciec z domu. Albo masz na godzinę szóstą zamówionego fryzjera w tej samej dzielnicy, więc skorzystałaś z tego i „po drodze” wstąpiłaś do znajomych, ażeby im swoim widokiem zrobić „przyjemność”.

Rozmowa nie bardzo idzie i utyka na jedną nogę. Zaczynasz więc przemawiać do znajdujących się w pokoju przedmiotów.

— Ach, jaka śliczna lampa. Skąd ją macie?

— Zawsze tu stała — odpowiada za lampę pani domu.

— Ale ta popielniczka to chyba nowa?

— Tak — odpowiada za popielniczkę pan domu — przywiozłem ją z Zachodu.

Jak wszystkie twoje krewne i kuzynki — kobietki, co chwila patrzysz na zegarek i mówisz, że już musisz iść. Pani domu



niezgrabnie wstrzymuje cię: — „Ach, nie idź, siedź, po co się masz śpieszyć”. — „Muszę uciekać” — grozisz i siedzisz dalej. Po pół godzinie znów zrywasz się, państwo domu odychają z ulgą. Powoli, bo są dobrze wychowani, też wstają, ażeby się z tobą pożegnać, ale ty nagle spoglądasz na zegarek ścienny, którego poprzednio nie zauważyłaś i pytasz się:

— „Czy ten zegar dobrze idzie?”

— Dobrze — odpowiada, nie wiedząc co mu grozi, pan domu.

— Noo, — odpowiadasz, to ja mam w takim razie kupę czasu — i siadasz z powrotem.

Czasem wpadasz nieproszona nagle w niedzielę, „bo nie masz co robić” i zastajesz czworo zgranych ze sobą partnerów, którzy ochoczo łupią w karty. W oczach każdego z nich, gdy patrzą na ciebie, taką wiośnianą i promienną, widzisz wyraźnie zdanie: „Diabli cię tu babo nadali”, ale ty mimo to rozsiadasz się wygodnie i pytasz panią domu, która właśnie roztrząsa jakiś szalenie ważny problem karciany:

— No, powiedz mi, co u ciebie słychać?

W ogóle uważasz, że rozmowa to są po prostu pytania, po chwili znów nagabujesz biedną panią domu, pytając się na przykład, czy jej mąż już wrócił?

— Bez atuu! — Co? — wrócił?, nie, nie wrócił... Owszem, owszem — wrócił!

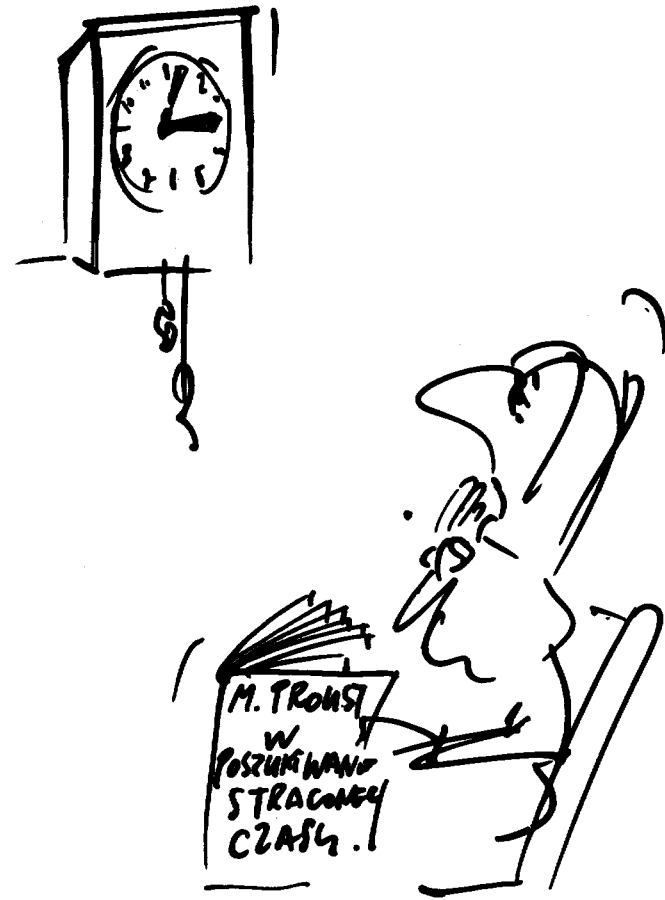
— A może ja wam przeszkadzam? — pytasz się w końcu z tak niedowierzającym uśmiechem, że każdy ci przez grzeczność zaprzeczy.

Pamiętaj: gdy nie masz co z czasem robić, to idź po prostu na spacer. Angielki nazywają to *footing*, po polsku można by to nazwać „wynożeniem” się (od słowa noga). Weź pieska, a jeśli go nie posiadasz, to ... parasol, który się w naszym klimacie zawsze przyda i idź się przejść. Jeśli szukasz koniecznie towarzystwa ludzi, to przed tym do nich zatelefonuj, czy mają na ciebie ochotę. W biurze, gdzie pracuje mąż twojej przyjaciółki, na pewno znajdzie się telefon.

PANI MARUDA

Mówi się na przykład o tej lub owej kobiecie, że „lubi się spóźniać”. To nie to, że musi, albo że ją okoliczności do tego nakłaniają — ona naprawdę lubi się spóźniać. Weźmy taką przemiłą panią Marudę. Nie obrażajcie się, to nie ty ani ja, skądże znowu. To nasza... daleka~znajoma Maruda Spóźnialska, z domu Flejtuch, z tych porządnych Flejtuchów, co to mieli w Krośnie kamienicę. Maruda zawsze czeka, żeby się spóźnić. Pilnie spogląda na zegarek i gdy brakuje dziesięciu minut do oznaczonej godziny, na którą miała się stawić: w teatrze, na proszonej kolacji, na bridżu, na rozprawie sądowej, lub „pod zegarem”, wynajduje sobie różne niby to konieczne zajęcia, „bo jeszcze ma kupę czasu”. Są to rzeczy u niej tak silne, że wprost nie sposób z nimi walczyć. Maruda wciąż przegrywa na swoim spóźnianiu się. W kasie nie wypłacili jej pieniędzy, bo przyszła po godzinie wypłat, nowy narzeczony, z którym umówiła się „pod zegarem” czekał pół godziny i obrażony, rozgoryczony (bo jakże tu w dzisiejszych czasach kazać mężczyźnie czekać) odszedł i więcej się nie pokazał. Nie nadała w sobotę listu poleconego, pocztę zamknięto i bardzo ważny interes przepadł. Cieszyła się na bridża u znajomych, ale przyszła o godzinę za późno i przypadkowy gość zajął jej miejsce. Naturalnie tłumaczy się ze swojej dziwnej pasji spóźniania się i wymyśla niestworzone przeszkody:

— Nie gniewajcie się, że przychodzę tak późno, ale mnie auto przejechało. Cud, że żyję. Nie wierzycie, to spójrzcie na moją pończochę!



— Spóźniłam się, prawda? Ale nie wiecie, co się u mnie stało! Pożar! Przewody zaczęły się palić... o! nawet nie zdążyłam ręk dokładnie umyć! Musiałam sama gasić, a tu w kuchni była tylko ciepła woda... Powiadam wam, coś strasznego!

Wszyscy w domu przyzwyczajeni są do tego, że mama, gdy wybiera się w jakąś podróż, za chwilę wróci do domu z głupią miną i pełną walizeczką.

— Co za porządki teraz — mówi rozgoryczona. Człowiek kupuje zawczasu bilet na autobus, a taki szofer nie może

głupich dziesięciu minut poczekać na gościa, tylko odjeżdża punktualnie o oznaczonej godzinie!

Najgorsze jest to, że wszyscy uważają Marudę za źle wychowaną, a ona przecież jest bardzo uprzejma i dobrze wychowana, tylko „lubi” się spóźniać. Jej nieszczęśliwy mąż bierze się na różne sposoby, przesuwa wskazówkę zegara na godzinę wcześniejszą, gdy mają razem wyjechać lub pójść do teatru, ale Maruda ma przecież swój zegarek, którego z ręki nie zdejmuje i bardzo pilnuje godzin, ażeby się tylko spóźnić.

STAĆ JĄ NA TO

Przyjemnie być kobietą bogatą. Nic nie robić, leżeć w łóżku i jeść ciastka z kielbasą — jak marzyła głośno pewna pomocnica domowa.

Kobiety bogate mają czas na wszystko. Mogą rzeczywiście długo leżeć, jeść śniadanie w łóżku, czytać książki, wyobrazić sobie, że się w przeszłym życiu było Egipcjanką, obmyślać tłusto, jakie suknie sprawić na sezon letni. I żadnych obowiązków, żadnych zajęć, co najwyżej nakarmić swojego rasowego pieska. Ach, bardzo, bardzo przyjemnie być istotą bogatą z męża, nie ze swojej pracy. Przyjemnie, radośnie, ale... niebezpiecznie. Mnóstwo zazdrosnych oczu przyjaciółek czyha, ażeby to szczęście zaćmić. Być bogatą i mądrą, to już byłby szczyt szczęścia, ale Bóg sprawiedliwie rozdziela swoje dary, i kobiety bardzo zamożne są zwykle... głupie, jak ich sandałki na trzypiętrowym korku. Zamiast udawać, lub przynajmniej starać się udawać, że „ledwo mają z czego żyć”, starają się zaimponować o wiele od nich uboższym przyjaciółkom swoim dostatkim, chwalą się, chełpią zdobytymi „łupami”, kiedy to nikomu nie imponuje, tylko drażni i rozżala. Mówią owym niezamożnym tak: — „Ach, wiesz, jestem taka biedna, bo mam tyle sukien, że nie wiem do prawdy, którą włożyć...” albo: — „Taki mam straszny kłopot, bo mąż znów kupił mi dwa platynowe lisy i teraz nie wiem, czy zrobić z nich pelerynkę, czy połączyć je dzióbkami i nosić oba razem... może mi poradzisz, co zrobić?” Przy bridżu mówią takiej, która ma w torebce tylko 100 złotych: — „Mnie jest wszystko jedno, po ile gram — mogę grać po

złotemu, po pięćdziesiąt groszy, jak chcecie...” — gdy ta niezamożna przyjdzie do tej bogatej w odwiedziny, bogata z tajemniczą miną powiada, że jej „coś” pokaże. Prowadzi ją do nie zamieszkanego pokoju i pokazuje „zapasy”. Stoją tam wory z mąką i kaszą, wiszą zwoje kiełbas suszonych, słoiki konfitur i kompotów. Wiadomo, że najbardziej atletyczne zapasy nie zrobią na kobiecie takiego szalonego wrażenia jak te jedzeniowe. Blednie, oczy jej się z zazdrości zapadają w głąb, uśmiecha się fałszywie i mówi tonem ostrym i kwaśnym:

— No, cóż to dziwnego — ciebie stać na to!

Jeśli jesteście bogate, moje miłe, nie dopuście, broń Boże, do tego, ażeby wasze uboższe znajome powiedziały o was: — „Ją na to stać”. Przyniesie wam to niepowetowane szkody. Uboższe zazdrosne naślą wam natychmiast mnóstwo dam zbierających na dobroczynne cele i nie będziecie się mogły wówczas wykręcić kilkudziesięcioma złotymi, bo przecież wszyscy o was wiedzą, że „was na to stać”. Od pożyczek pieniężnych też nie będziecie się mogły wykręcić, chociaż im więcej macie „dzięgiów”, tym tego bardziej nie lubicie. A jeśli macie więcej pokoi niż dwa, mogą nawet zgłosić was do urzędu mieszkaniowego i naślą wam sublokatorów. A oprócz tego mogą się zacząć takie: — „Powiedzcie mi, «skąd» oni mają tyle pieniędzy?”

W dzisiejszych czasach wytężonej walki o byt należałoby pokazywać tylko swoje bogactwo „wewnętrzne”, to znaczy tylko „skarby duszy i serca”. Na tym tle można sobie pozwolić na daleko idącą przesadę, to na pewno nie przysporzy wam zazdrośników i nikt nie będzie się bawił w dociekanie, „skąd” macie tyle owych skarbów.

UPRZEJMOŚĆ

Uprzejmość to jedna z najsubtelniejszych zalet, która w hipertrofii może się łatwo zamienić w wadę nie do zniesienia. Nasze znajome są często zanadto uprzejme z powodu poczucia własnej wyższości — jest to uprzejmość królowych wobec swoich poddanych...

Jaka ja jestem ludzka — myśli taka „dama”, podając na przykład rękę na powitanie znajomej sklepikarce z małego kiosku, której to tylko przeszkadza w obsłudze innych klientów. Najuprzejmniejsza z tych pań, gdy żebrak pod kością zdejmuje przed nią czapkę w wiadomym celu, odkłania mu się z czarującym uśmiechem i przechodzi nie zatrzymując się. Z nadmiaru uprzejmości gwałtownie zapraszamy spotykaną na ulicy nudną przyjaciółkę, ażeby nas odwiedziła, obrzucając ją jednocześnie *confetti* tanich komplementów: Jakaś ty cudna, jaka zawsze młoda, co ty na to robisz? Musisz mnie koniecznie jak najprędzej odwiedzić.

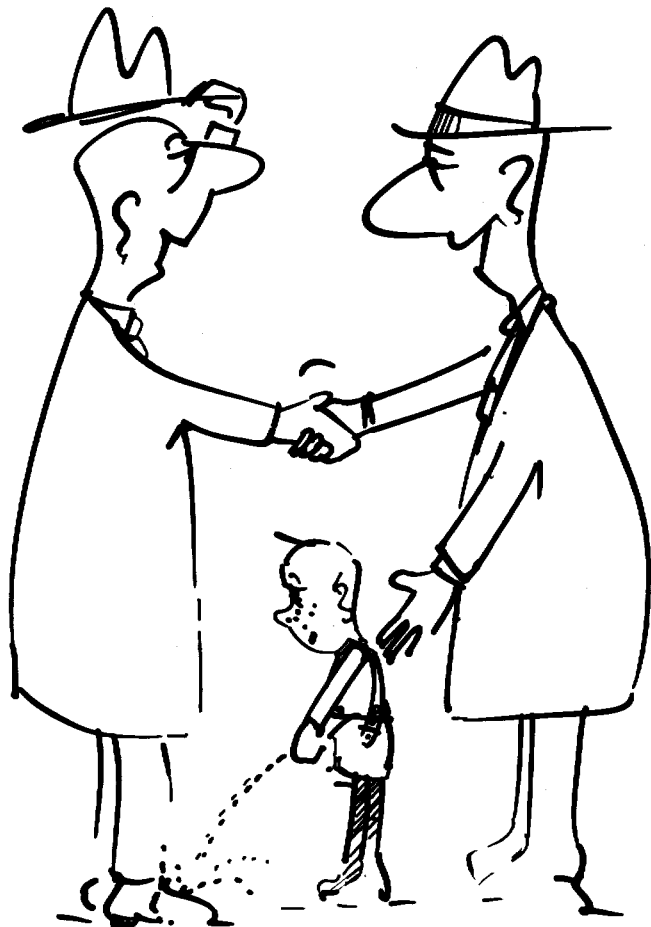
— Przyjdę w takim razie do ciebie jutro po południu — odpowiada na to wbrew naszym nadziejom nudna istota.

— Ach, jutro... niemożliwe — odpowiada na to hiperuprzejma — jutro i pojutrze mam u siebie w mieszkaniu... malarzy.

— No, to w takim razie za trzy dni... czyli w niedzielę...

— Ach, w niedzielę, wybaczone, ale zawsze chodzimy z mężem do kina.

— Za dwa tygodnie — odpowiada na to polubownie kochana przyjaciółka — będę znów w Krakowie, to na pewno wpadnę do was...



Autentyczna odpowiedź takiej jednej zanadto uprzejmej damy brzmiała następująco:

— Za dwa tygodnie... zaraz... co to ja będę miała ważnego... aha, prawda... pogrzeb wuja!

Osoby hiperuprzejme obgadują również wszystko to, co jest ich własnością, ażeby przypadkiem nie wzbudzić w przyjaciółkach zazdrości. Jest to specjalny rodzaj tak zwanej chińskiej uprzejmości.

— Czy to twoje „bobo”, to co tam biega? Ach, jakież śliczne, mów do nadmiernie uprzejmej jej znajoma.

— Ono śliczne? Co też ty opowiadasz, nos ma jak kartofelek i takie teraz mizerne. Brzydulek zupełnie podobny do rodziców...

To samo dzieje się z sukniami. — „Podoba ci się ta suknia? Mój Boże, czy ty wiesz, ile ona ma lat? Tu dziura, tam dziura, i chyba z dziesięć razy prana”.

Tego rodzaju uprzejmość to synonim słabości i lęku przed ludźmi. Nie bójmy się naszych bliźnich tak bardzo. Miejmy odwagę cywilną powiedzieć: Tak, moje dziecko jest naprawdę bardzo udane.

Słusznie, że ci się ta suknia podoba, bo naprawdę jest dobrze uszyta i z dobrego materiału. Wówczas i komplementująca nas przyjaciółka wyskoczy momentalnie z toru pochlebstw i dowiesz się prawdy, że dziecko owszem, jest udane, ale za chude i trochę mizerne, a suknia rzeczywiście jest „nieźle” uszyta, ale trochę się z tyłu marszczy.

SZTUKA MILCZENIA

Niektóre, a raczej większość kobiet mówi, klepie, papie, byle co, byle prędko, dużo, tak jakby się dopiero nauczyły mówić i były z tego szalenie dumne. Gdy się człowiek nauczy obcego języka biegle, to z nauczycielem swoim właśnie tak dużo plecie dla wprawy — ale to jest całkiem zrozumiałe. Kobiетки plotą właśnie tak, jak to podają podręczniki obcych języków:

— Co ma młody człowiek? — Młody człowiek ma zmartwienie.

— Jakie pani posiadasz w tym sklepie towary, czy łokciowe?

— Nie, ja mam dziś tylko kłopot, bo moja służąca odchodzi.

— Czy jadasz pani ryby? — Wolę róże, które kwitną w moim ogródku. Kocham także piwonie.

A najgorsze to, że nie są w stanie słuchać. Ledwo otworzysz swoją „gadaczkę” i chcesz coś powiedzieć, ona, jak jadawita „gada”, już ci przerywa:

— „Zaraz, zaraz — woła — ja wam lepszy kawał opowiem!”

Z każdą panią domu zaczyna się przy obiedzie w rodzinnym kółku ta zabawa:

— „Słuchajcie — mówi ojciec — co ja dzisiaj przeczytałem w gazecie...”

A mama już przerywa:

— Komu sałaty, a komu mizerii?

— Więc słuchajcie, otóż... — mówi znów ojciec.

— Czy mogę ci nałożyć na talerz kawałek mięsa? — przerywa mu znów matka.



— Jak będziesz wciąż przerywać, to wam nie opowiem — grozi ojciec.

— Ależ mów, mów, ja przecież słucham, tylko pobiegnę do kuchni po drugą potrawę...

Sztuka słuchania to jedna z najrzadszych i dla kobiet najtrudniejszych umiejętności. Znam jedną bardzo dobrze wychowaną damę, która też nie słucha co kto do niej mówi, ale przynajmniej milczy i nie przerywa potoku wymowy drugiego. Kiedyś jednak przyglądając się bacznie, zauważyłam, że jej się dziwnie jakoś podczas tego słuchania usta ruszają.

I co się pokazało? Babią, ażeby nie tracić czasu... liczy. Liczy cichutko, ledwo ruszając ustami, co i ile tego dnia wydała...

Pewien mąż, wezbrany wyrzutami sumienia, chciał się swojej żonie, notorycznej gadule, przyznać, że ją zdradził, zaczął więc w ten sposób:

— Moja droga, muszę ci się przyznać do wielkiego głupstwa, które popełniłem...

— Czy nalać ci kawy? — przerywa żona.

— Otóż poznałem na plaży pewną tłuściutką blondynkę...

— To zabawne, bo ja też poznałam dziś w pociągu jedną bardzo miłą panią i wyobraź sobie, że poszłyśmy razem do kawiarni, jej mąż ma sklep w Katowicach. Ach, mój Boże, zapomniałam, że muszę wyjść do miasta... Otóż jej mąż jest bratem tej pani, wiesz, którą kiedyś poznaliśmy w autobusie, ale nie jej rodzonym bratem, tylko przyrodnim... Jak te kwiaty powędły od wczoraj... muszę iść do szewca... już całkiem do niczego... no i ona opowiadała... Takie drogie buty... Nie można irysów kupować... Ona ciebie także zna... Zapomniałam gdzie ona mieszka. No, co ta twoja blondynka... Aha, nie pamiętasz jego adresu? Obcas odlatuje... Jakoś tak się nazywa Kulas czy Pozik?... Nie pamiętasz? Przecież też sobie u niego kazałeś robić... Szkoda pieniędzy na takie kwiaty... itd., itd.

Nigdy oczywiście nie dowiedziała się, co mąż chciał przed nią wyznać. Może i lepiej. „Chciałbym być aktorem — westchnął kiedyś pewien mężczyzna — wówczas kobiety nie przerywałyby mi tego, co chcę powiedzieć...”

FRYZJER

Z włosami jest taki sam kłopot jak z pończochami. To ondulacja „wieczna” okaże się nietrwała, to znów farba po miesiącu spłowieła i tylko bardzo młody zakochany mówi wówczas: — „Jaki ty masz cudowny i oryginalny kolor włosów, od spodu ciemny, a z wierzchu rudy — jak takie psy podpalane”. Ale reszta znajomych śmieje się z nas. To znów „srebrniaki” wyskakują na skroniach, nieproszone i niepytane, lub też płaczą się z tyłu na kołnierzu od futra jak tak zwane anielskie włosy na drzewku w Boże Narodzenie. Trzeba więc, niestety, wciąż chodzić do fryzjera, czekać czasem godzinę, spóźniać się przez to wszędzie i taka ot jest dola kobieca. Trzeba chodzić do fryzjera, ale nie należy mu opowiadać, tak jak to wiele pań robi, przeważnie z nudów, najintymniejszych spraw ze swojego życia lub z życia swoich znajomych. Damski fryzjer, który przez ciągle przestawanie z kobietami niewieścieje, nie ma oczywiście nic lepszego do roboty, jak powtórzyć naszej najlepszej przyjaciółce wszystko to, cośmy o niej powiedziały...

— Co? — wrzaśnie klientka i podskoczy na krześle jak gdyby oparzona parą z bani do „trwałej”. Ona śmiała powiedzieć, że ja byłam szabrowniczką! A kto jak nie właśnie ta pani przywiozła sobie z Wrocławia własnoręcznie wyszabrowany motor samochodowy, pięć bel watoliny w ręcznej torbie i dwa aparaty radiowe na plecach. Niech ta szantrapa lepiej nic nie mówi, bo jak ja zacznę o niej opowiadać... Ja nic nie mówię, ale niech ona mnie za język nie ciągnie.

Mam jedną chytrą znajomą, która znając gadatliwość panów

„cześników”, naumyślnie puszcza o sobie różne plotki, ażeby to doszło do jej przyjaciółek.

— Rozwodzę się, wie pan, panie Władziu, i wychodzę za mąż za przyjaciela pani tej a tej... Tylko błagam, niech pan tego nikomu nie mówi.

— Ależ pani dobrodziejko, gdzież ja bym takie rzeczy powtarzał, przecież ja rozumiem, że klientka mówi mi to w największym zaufaniu... I już w kilka godzin całe miasto o tym wie.

— Takie stare babsko i ma takie powodzenie — gdaczą wściekle babiny. A nasza chytra, która lubi sobie robić reklamę, śmieje się w kułak, bo przecież w tej plotce nie ma cienia prawdy.

Rada: Z fryzjerem mówić tylko o włosach. Przy tej okazji można się dowiedzieć, która z naszych znajomych ma farbowane loczki, a która posiada kolor naturalny....

MÓJ MAŻ

Zdawałoby się, że posiadanie męża jest rzeczą na ogół dość często spotykaną i całkiem naturalną. Tymczasem paniusieczki są zazwyczaj niezmiernie dumne z posiadania „takowego” i przed kobietami, które nie mają przyjemności go znać, robią z owego pocziwca najczulszego z kochanków.

Na różnych kursach językowych lub gimnastycznych, a szczególnie w łaźni, gdzie w dniu dla pań istnieje wszelka gwarancja, że on się nagle nie zjawi, dowiadujemy się, jakich te panie mają dbających o nie i kochających mężów:

— Gdyby mąż wiedział, że siedziałam przez cały kwadrans w suchej parze, to by mi chyba głowę urwał — mówi babus.

— A ja — odpowiada na to druga, chowając wstydliwie piersi między kolanami — w ogóle nie przyznaję się mężowi, że chodzę do łaźni — on się tak trzęsie nad moim zdrowiem...

Trzecia przynosi sobie z kabiny paczkę kanapek.

— To mąż mi sam przygotował — mówi z pobłażliwym uśmiechem — nasmarował masłem, obłożył kiełbasą, tak się okropnie bał, że tutaj zgłodnieję.

Tym samym paniom, chociażby nie wiem ile zarabiały i ciężko handlowały, „mąż” wszystko sprawia.

— Ładna sukienka, prawda? To mąż mi kupił. On tak mnie lubi stroić...

Niczego, co mają na sobie (buciki, kapelusz, puder), nie sprawiają sobie same, tylko mąż im skądś przywozi.

Jeżeli jesteśmy podobne do owych pań, uważajmy, aby nasi mężowie nie przyszli po nas do łaźni lub do fryzjera... I całe szczęście, że przyjaciółki nie słyszą słów, jakimi mężuś wita powracającą po „trwałej ondulacji” małżonkę:



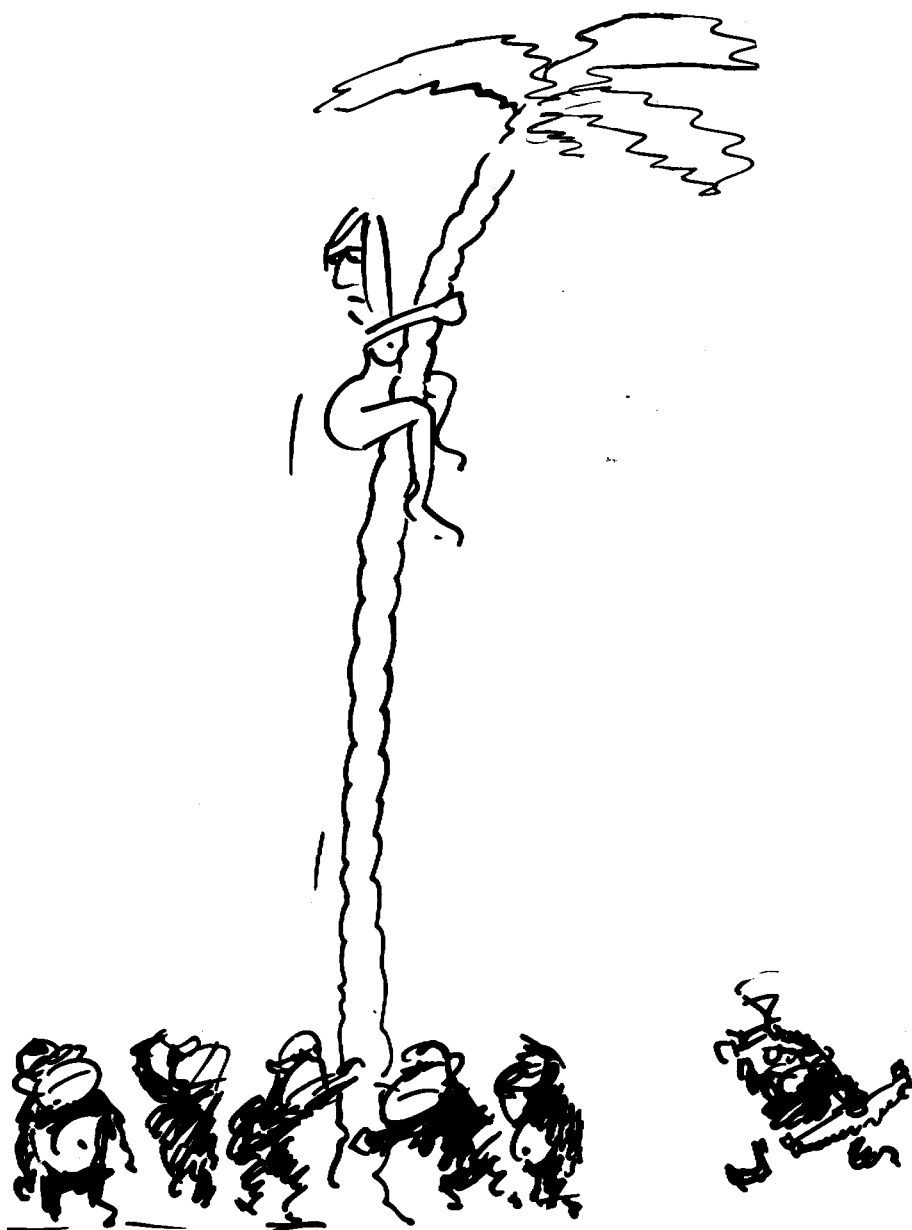
— Nie mogłaś jeszcze dłużej siedzieć, co? — mówi surowym tonem czuły mąż-kochanek. — Wściec się można z tymi babami. Jaki człowiek był głupi, że się w ogóle żenił.

OGRÓD MIŁOŚCI

Kiedyś zdarzyło mi się przeczytać śliczną bajkę dla dorosłych pod tytułem *Ogród miłości*. Bajka ta zrobiła na mnie duże wrażenie. Otóż gdzieś na świecie istnieje Ogród miłości. Bram owego Ogrodu strzeże kulawy strażnik i wpuszcza do niego tylko parki. W zaczarowanym tym Ogrodzie kwitną magnolie, bzy i akacje. Wszystko się tam kocha, nawet drzewa splatają się konarami i całują wiewiórkami. Parka, która znalazła się w owym zaczarowanym Ogrodzie, przeżywa najpierw namiętą zieleń wiosną uczucia.

Oto do Ogrodu weszła ze swoim towarzyszem królowa. Trzymają się za ręce, są bladzi, a namiętność dławi ich tak, że szepnąc są w stanie tylko „kocham”... Co chwila wpadają w atak miłosnego szału, a królowa — jak każda wariatka — wyobraża sobie, że będzie przez tego jedyne kochana przez całe życie. Ale wiosna się kończy, przychodzi gorące lato, kochanek jeszcze szaleje, ale trochę rzadziej, zasypia chętnie pod cieniem platana i czasem bywa jak gdyby z lekka roztargniony i zapomina na przykład podczas pocałunku wyszeptać: — „Ty, ty, ty! Powiedz, kochasz?” albo ugryźć ją w szyję. Ale to jeszcze nic. Powoli w Ogrodzie następuje je-





sień, ptaki już nie szaleją w krzakach, róże zwiędły — zastępują je czcigodne georginie i cmentarne astry — coś się kończy. Kochanek jak krzak magnolii zżółkł i więdnie. Królowa — jak to kobieta — wciąż taka sama, wciąż pragnęłaby kochać, wciąż szaleć...

— Czy ty mnie jeszcze kochasz? Powiedz! Kochasz?

— Proszę? — pyta się nie dosłyszawszy znudzony amant.

Zgaszeni, śmiertelnie smutni, jak ludzie po wielkim pijaństwie, wychodzą z Ogrodu miłości, a strażnik przy wrotach rechoce ironicznie i powiada królowie:

— Wrócisz tu jeszcze, królowo... wrócisz. Kto raz zakosztował rozkoszy Ogrodu miłości, ten zawsze będzie chciał do niego powrócić...

— Przenigdy! — woła zawiedziona — Kocha się tylko raz!

Ale już po niedługim czasie znalazła sobie faceta i wali z nim do Ogrodu miłości. Znowu jest to samo. Znowu facet i królowa przeżywają cudowne chwile, i znowu lato, jesień, wiatr wieje, kochanek ziewa, królowa łyż roni. I tak powtarzają się co jakiś czas jej wycieczki do Ogrodu miłości, póki... póki już jakoś nikt królowy nie chce... Biedna, z rozwianym włosom krąży koło bram Ogrodu, a przechodnie nie zwracają na nią uwagi, i wówczas, nie mogąc żyć bez miłości, chwytając kulawego dziadka za kostropatą łapę i woła: — „Chodźmy dziadku, chodźmy do Ogrodu miłości”. Dziadek daje się skusić i w owym zaczarowanym miejscu zmienia się w najczulszego z kochanków, ma obie nogi, młodnieje i daje przeżyć królowie znowu piękne chwile miłości.

A sens tej mądrej bajki? Otóż co druga kobieta chciałaby przez całe życie kochać jednego mężczyznę i tkwić z nim bez końca w Ogrodzie miłości. Ale mężczyźni nie się tak łatwo nie przykrzy jak gramofonowa płyta i ...kobieta. Trzeba zatem brać przykład z owej królowy, nie rzucać się w ciemny nurt rozpacz, tylko ranę zadaną w serce przez jednego mężczyznę leczyć plasterm z innego mężczyzny. Przykładać tak długo, póki się plaster nie skończy i znowu szukać innego... chociażby ten plaster był już trochę stary i używany...

WYBÓR MĘŻA

Podobno „mąż i żona — od Boga przeznaczona”. Czy to piękne i stare przysłowie jest naprawdę słuszne? Przecież gdyby tak było, nie widzielibyśmy tylu bezsensownych małżeństw wokoło. Raczej można by pobożnie westchnąć, że „kogo Bóg chce pokarać, temu rozum odbiera...”

Na ogół kobiety wychodzą za mąż, ażeby mieć mężczyznę nad głową (coś tak jak własny dach), a mężczyźni, żeby mieć kobietę na głowie i zwykle nie robią tego własnowolnie, tylko bywają do tego zmuszeni. Wychodząc z założenia, że nie mężczyzna wybiera sobie żonę, tylko kobieta mężczyznę, ku niej skierujemy nasze bezcenne rady.

Ażeby zanadto nie wpaść, należy wziąć sobie chłopaka na obserwację. Gdy dłuższe współżycie z nim, czy to jako z aman-tem, czy jako ze współlokatorem, wykaże dodatnie rezultaty, można zacząć mieć w stosunku do niego jak najgorsze zamiary, czyli zamiary matrymonialne. Nie szukajmy na męża uczonego lub mędrca. Materiał na męża powinien mieć tylko tyle inteligencji, by umieć utrzymać żonę i naprawić w domu elektryczność i wszystkie z nią związane grzejniki, aparaty radiowe, itd., bo tego nawet najmądrzejsza kobieta nigdy nie będzie umiała zrobić. Poza tym lepszy jest ubogi rozrzutnik niż bogaty skąpiec. Z ubogim rozrzutnikiem jest się raz na wozie, raz pod wozem, jak z dobrym szoferem, a z bogatym skąpcem życie wspólne jest dla kobiety jednym wstydem. Daje w hotelach tak małe napiwki, że portier, przyjrząwszy się własnej dłoni, wzrusza ramionami. Przed gośćmi chowa papierosy, kwestionuje swoją przegraną w karty i sprawdza bridżowe rachunki, a wie-



czorem pyta się żony, co zrobiła z dwudziestoma złotymi, które jej rano dał „na przyjemności”.

Najgorszym typem jest ubogi skąpiec. To już jest dramat i tragedia, życie z ubogim skąpiarzem to kłębek wełny drzewnej, szarej w czarne ciapki. W takim domu wszystko jest tego koloru: ubranie męża, suknia żony, dziecko, kuchnia, ściany, pies, kot, nawet kanarek.

Teraz druga, bardzo ważna sprawa, a mianowicie sprawa wieku. Jak wiadomo, różnica płci to atrakcja, która się w mał-

żeństwie szybko przykrzy, więc żeby jej dodać smaku, potrzebna jest do tego jeszcze i różnica wieku. Małżeństwa „mieszane” to znaczy piernika z pączkiem i „sę-dziwy” z młokosem, są zazwyczaj szczęśliwe. Każdemu z nas imponuje to, czego sami nie posiadamy — nawet... wiek, a do trwałej miłości imponowanie jest konieczne potrzebne.

„Obserwacja” powinna się odbywać bardzo skrupulatnie i gruntownie, nie można wówczas dać się porywać uczuciu i mówić: — „Eee, jakoś to będzie”. Należy czynić z obiektem drobne eksperymenty. Zalać i bacznie obserwować, jak się będzie zachowywał po pijanemu. Pod wpływem alkoholu wyłażą czasem z naszego ukochanego dziwne i mocno niepokojące emanacje. Wypełzają z zamkniętych zwykle zakamarków jego „ja” słowa i reakcje, których by się człowiek nigdy po nim nie spodziewał. I jak medium po seansie spirytystycznym nic nie pamięta, co się na owym seansie działo, tak samo zalany nie ma pojęcia, co plótł i wyprawiał. Ale my za to pamiętamy.

Na ostatek radzę wycieczkę do lasu. Gdy go zainteresuje praca mrówek, gatunek przelatujących ptaków, gdy z zapartym oddechem będzie śledził dowcipne harce wiewiórek i po godzinie nie powie: — „Chodźmy do domu, dosyć już tego włóczenia się po lesie” — to można śmiało (oczywiście gdy zechce) włożyć mu swoją dłoń do ręki i iść z nim przez życie...

RADIO-KOBIETA

Skarżysz się, droga przyjaciółko, że twój mąż ucieka z domu, a dzieci nie objawiają ci też takiej miłości, jakiej byś od nich wymagała. Dlaczegoż się to dzieje? A czy ty, moja droga, nie jesteś przypadkiem... „radio-kobietą”?

— Cóż to takiego? — zapytasz ze zdumieniem i zaraz, jak cię znam, popelnisz słownego „byka”, pytając, czy to znaczy, że jesteś „radio-aktywną”, myśląc twoim zwyczajem radio z radem. Otóż „radio-kobietą” można by nazwać osobę, która cały dzień ogłasza swoje audycje tak jak aparat radiowy, z tą zasadniczą różnicą, że aparat można zawsze wyłączyć, gdy za wiele gada.

O godzinie 7 rano zaczynają się twoje audycje. Rozpoczynasz je od pogawędki dla dzieci. Przygotowujesz synkowi idącemu do szkoły śniadanie i przepowiadasz mu, co za chwilę uczyni:

— Wylejesz kawę. No, nie mówiłam, naturalnie — zawsze masz takie głupie ruchy i maślane ręce. Weź szalik na szyję, teraz jest ciepło, ale za chwilę deszcz będzie padać. Mówię ci, że się zaziębisz.

Chłopak — tak jak słuchacze radiowi — nie odpowiada, tylko wzdycha. I po chwili znów mówi: — „Spiesz się — bo się spóźnisz do szkoły, jest już dwadzieścia pięć po siódmej”. Twój zegarek — też jak w radio — myli się, bo jest dopiero osiemnaście po siódmej. Chłopak nie dopija śniadania i wychodzi. Chwila przerwy, po czym radio zaczyna swój „koncert życzeń”. Mąż twój na gwałt goli się, a ty mówisz tak: — „Chciałabym, żeby Busia Ciapska pękła z zazdrości, gdy zobaczy na mnie ten nowy kostium — wiesz, ta z ulicy Bojowej!” — po czym gwizdziesz fałszywie *Złociste chryzantemy*... Po chwili nowe życzenie:

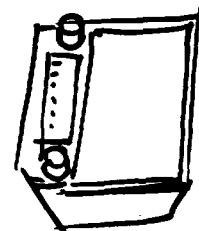
— „Bardzo bym się cieszyła, gdyby Zoli Tokaj, wiesz, tej z Teatru Nowości, nie udał się występ. To takie zarozumiałe stworzenie!” — i zaczynasz nucić wraz ze słowami *Tango mojej matki*. I jeszcze jedno życzenie: — „Och, jakbym się cieszyła, gdyby biedny mąż tej Hali Hulajowej wreszcie ją opuścił, przecież ona go zdradza na każdym kroku” — i zaczynasz głośno śpiewać polkę: *Rach, ciach, ciach*.

Chwila przerwy — śniadanie — po czym twój mąż musi wysłuchać audycji dla mężów pod tytułem: „Czemu?”

— Powiedz mi — zaczynasz między kawą a bułką — dlaczego ty właściwie nie przyjął tej doskonałej posady na Zachodzie, bylibyśmy teraz milionerami jak Zbysio Będzik. Tu mąż nie wytrzymuje i przerywa audycję, odpowiadając z oburzeniem, że przecież Zbysio Będzik, siedzi już od pół roku za różne kanty. Na to odpowiadasz dowcipnie (bo i radiostacje silą się czasem na humorek), że „Zbysio może siedzi, ale my za to leżymy i to... na obie łopatki”. Audycja pod tytułem „Czemu?” kończy się smętnym zapytaniem: — „I czemu tyś się właściwie żenił, nie mając środków ku temu?...” Tego już słuchacz nie dosłyszał, bo w połowie audycji zwiął, nie dojadając śniadania. Radio-kobieta zostaje w domu sama i ogłasza przerwę do godziny jędnastej.

O jedenastej przychodzi „dochodząca”, która ci pomaga w porządkach domowych, ale zaręczam ci, że długo się nią nie będziesz cieszyła, ponieważ w czasie, gdy ona pali w piecu lub zamiata, ty zabawiasz ją audycją dla wsi pod tytułem: „Nie trzeba nigdy”... — „Nie trzeba nigdy, moja Karolino, stawiać kubła z wodą tu, tylko tam...” — „Już kilka razy powtarzałam, żeby dywanu nigdy nie trzepać z tej strony — tylko z tamtej...” — „Nie trzeba nigdy, moja Karolino, przerywać mi, gdy ja chcę Karolinę czegoś nauczyć...”

Po południu — i to jest najstraszniejsze — mąż twój wraca z biura, a ty nadajesz na fortepianie wiązaną melodię pod tytułem: „Dla każdego coś miłego...” Wtedy małżonek momentalnie porywa kapelusze i wychodzi z domu mówiąc, że ma ważne posiedzenie, a dzieci przychodzą z płaczem cię przepraszać, że



były niegrzeczne... „i dlatego pewnie mamusia tak smutno i źle gra na fortepianie”.

Weź więc do serca, droga przyjaciółko, to co ci napisałam i przestań być „radio-kobietą”. Zobaczysz, jak ci się życie odmieni.

Z CZEGO ŻYJESZ?

Nie należy być biednym, bo ubóstwo ludzie szalenie myślą z głupotą. Same zresztą tak mówimy: — „Jakaż ja byłam głupia, że nie kupiłam tego lub tamtego, wówczas kiedy to było takie tanie...”

A tymczasem wcale się nie było głupim, tylko po prostu nie miało się pieniędzy. Mądra kobieta nigdy zatem nie będzie uboga, ponieważ zawsze znajdzie sobie jakiś uczciwy sposób zarobkowania.

„Pieniądze nie leżą na ulicy”, leżą natomiast w naszych głowach i stamtąd należy je wydobywać. Oczywiście dobrze jest od wczesnej młodości wyspecjalizować się w jakiegokolwiek umiejętności. To w czasie „lat chudych” może przynieść niespodziewane rezultaty. Nie mówię tu o takich umiejętnościach jak przysłowiowe „pluć i łapać”, ani o pewnym chłopcu, który żywe muchy zawijał w chleb i połykał, otrzymując za każdą taką porcyjkę dwa złote od znajomych chłopców, ale chociażby o takich umiejętnościach, jak stawianie kabały. Na kabałach lub wróżeniu z ręki można ładnie zarobić, szczególnie gdy się umie odpowiednio bujać. Przy okazji usłyszysz się od znajomych, że „powinna sobie pani jeszcze sprawić do swojego okultystycznego gabinetu czarnego kota” — co może być przyczynkiem do napisania dziełka o banalności ludzkich spostrzeżeń i wówczas można znów na tym dziełku zarobić kilka złotych. Mam jedną znajomą, która absolutnie nie umiała nic i nawet jest średnio inteligentna. Od nędzy uratowało ją jej dobre serce. Uciekając z palącej się Warszawy, zostawiła wszystko, co posiadała, oprócz... pary rasowych psów-pekińczyków. Kiedyś spotkałam ją na ulicy doskonale ubraną i w doskonałej formie.

— Co pani teraz robi? Z czego pani żyje? — zapytałam.

— Dosłownie z psów! — odparła. — Moje uratowane z palącego się domu pekińczyki urodziły cztery rasowe szczenięta, które sprzedawałam po pięćset złotych. Za te pieniądze założyłam sobie kiosk, a niedługo przystąpię do małej spółdzielni.

Gdy ktoś nie ma żadnych pomysłów i żadnych umiejętności, a na kupienie sobie rasowej pary psów nie posiada środków, może sobie za bardzo niedrogo pieniądze kupić parę królików albo białych myszy. Wówczas nie robi się absolutnie nic, leży się brzuszkiem do góry, czyta pasjonujące książki, a króliki za nas pracują...

IGNORANCJA

Jakież by to było świetne i uzasadnione imię własne dla wielu naszych znajomych kobietek. Puknijmy się w głowę (nie w piersi, bo co piersi mają do tego) i przyznajmy się ze skruchą, że co druga z nas mogłaby je nosić z powodzeniem jako pierwsze z imion, więc na przykład: „Ignorancja Józefa, Anna, Karolina”.

Nie będę tu mówiła o takich jaskrawych wypadkach, jak o pewnej pani, która zamiast Kaligula mówiła kanikuła, która twierdziła, że wieczorem niezdrowo jest siedzieć w ogrodzie, bo „numizmaty wychodzą z ziemi”, ale o idiotyzmach lżejszych, których tyle z nas popęlnia tak często. Czy jesteśmy głupsze od mężczyzn, którzy takich „byków” jednak nie popełniają? Bezwzględnie nie. A więc dlaczego? Może mamy gorszą od nich pamięć? Możliwe, ale gdyby tak było, nie pamiętałybyśmy tak doskonale, jaką suknię i z jakiego materiału miała na balu któraś z naszych przyjaciółek, i że nasz amant kilka miesięcy temu powiedział do jednej z nas: — „Ty albo żadna” — a potem nie dotrzymał słowa. Mimo zatem doskonałej pamięci, dlaczego nie pamiętamy ani słowa z łaciny, którą nam tak samo jak chłopcom wbijano do głowy i dlaczego miewamy stale niedostatecznie z historii, a przede wszystkim z geografii? — W tym miejscu napomknę o pewnej cudzoziemce, która znalazła się na polskim statku pasażerskim jadącym „Po słońce do Afryki” i „Po zdradę męża, który został na lądzie”. Dama ta ujrawszy we francuskim Maroku góry Atlasu zapytała, jak im jest na imię.

— To są góry Atlasu — odparł jej ktoś.



— To dziwne — odparła dama w zamyśleniu — bo u nas takie góry nazywają się Pireneje...

Inna znów cudzoziemka, zwiedzająca Polskę i Kraków, zapytała o nazwę rzeki płynącej koło Wawelu.

— To Wisła — odparł oprowadzający ją krakowianin.

— Niemożliwe! — wykrzyknęła zagraniczna dziennikarka. — Przecież Wisłę widziałam koło Warszawy.

Ignorancję kobiet, które nie potrafią swoim dzieciom wytłumaczyć różnych zjawisk fizycznych oraz zasad nowoczesnych wynalazków, określił najlepiej Antoni Słonimski w jednym ze swoich dawnych felietonów.

— Mamo — pyta się siedmioletni chłopiec — dlaczego samolot utrzymuje się w powietrzu i nie spada?

Na to mama, nie wiedząc co odpowiedzieć, a nie chcąc wobec syna utracić swojego prestiżu, mówi surowo:

— Jasiu, trzymaj się prosto.

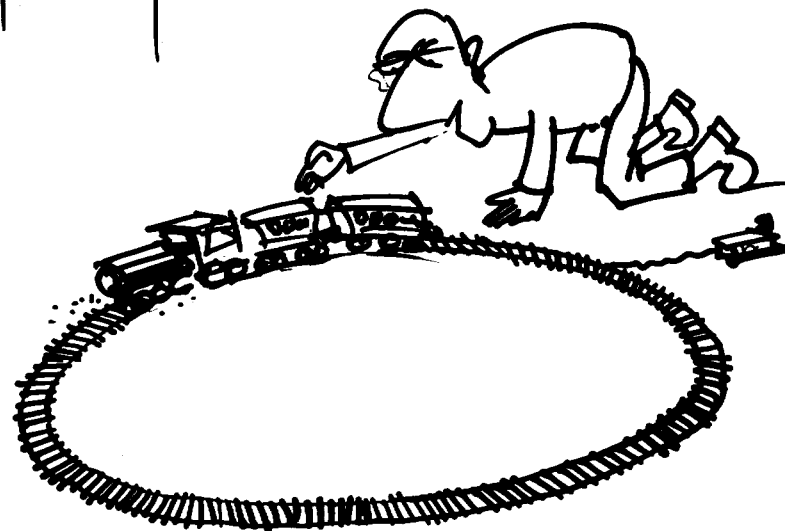
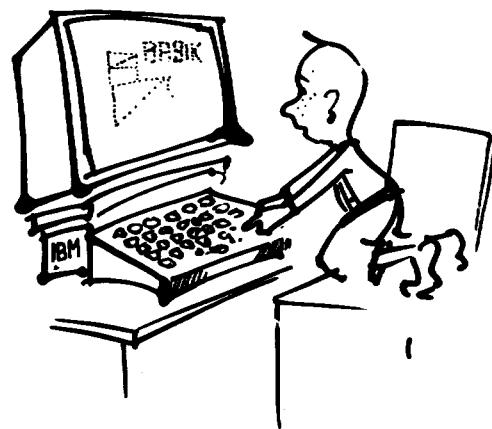
Ponieważ z datami historycznymi jesteśmy też najczęściej nie w porządku, więc żeby je zapamiętać radzę system telefoniczny, na przykład datę odkrycia Ameryki przez Kolumba: „czternaście dziesięćdziesiąt dwa”, albo datę bitwy pod Grunwaldem: „czternaście — dziesięć”. Jeżeli tak się złoży, że ze wszystkich dat najdoskonalej pamiętasz mało używaną datę obrania Władysława Jagiellończyka królem Czech, to na pewno tylko dlatego, że twój najnowszy flirt ma numer telefonu „14-71”.

ZABAWKI DLA CHŁOPCZYKA

W co drugiej kobiecie siedzi od urodzenia mała mama, czuła, troskliwa, lubiąca lalki i małe dzieci — w co drugim mężczyźnie mały chłopiec-psotnik, którym zostaje do końca życia. Nie daj Boże zresztą, ażeby nim nie był. Dojrzały mężczyzna bez cienia chłopięcości to straszna rzecz. Przypomina on wówczas takiego pana z obrazkowej kabały pani Lenarmand: „Gość” z kabały ma na sobie czarny tużurek, który mu się opina na okazałym brzuszku, białą kamizelkę, czarny wąsik i jest bardzo nieprzyzwoity. Pod sobą nosi napis: „szczęśliwy ożenek”. W życiu „piastuje” (zamiast żony) wysokie stanowisko, jest godny, życie bierze bardzo poważnie, nie ma za grosz poczucia humoru, mówi, że „kobieta stworzona jest do rodzenia” i że „nawet gdy nie może, powinna karmić sama”, synów zaś poucza, iż „nie należy z żony robić kochanki”.

Na szczęście tych typów męskich jest mniej niż tamtych, i często spotykamy nawet sześćdziesięcioletnich panów, którzy mają jeszcze w sobie dużo z małych chłopców. Ale taki mąż-chłopak potrzebuje zabawek, więc jak mu ich dostarczyć? Przed wojną, nie tak zajęci jak teraz, mieli czas na sporty. Brali na ramię strzelbę lub narty i byli zadowoleni. Gdy nie było do czego strzelać, to sobie puknęli do wrony, a gdy nie umieli jeździć na nartach, to sobie łamali nogę i też mieli zabawę w szpitalu. Leżąc pod czułą opieką żony-mamy, rozmyślali już nad tym, jak w lecie sprawią sobie kajak z motorkiem...

Dzisiaj z zabawek, których możemy dostarczyć naszym dużym chłopcom, pozostały tylko... dzieci i zwierzęta. Każdy mężczyzna pragnie mieć dziecko, nie zdając sobie sprawy, że chodzi mu



przede wszystkim o zabawkę przez siebie zrobioną (nie daj Boże, ażeby mu ją zrobił ktoś inny). Ale zabawka ta nie jest wcale w praktyce zabawna, piszczy — nawet gdy się jej nie nacisnie — mokre to, kruche, galaretowate, absolutnie nie nadaje się na rozrywkę dla chłopca. Natomiast polecenia godne są młode psy i koty. Mąż-chłopiec wraca z biura i już w przedpokoju ma ćwiczenia gimnastyczne z młodym psiakiem, który mu porywa kapelusz i ciągnie za poły płaszcza. Koty też są doskonałą

zabawką, podrzuca się je do góry jak puchową poduszkę i można ciągnąc kota za ogon pytać się po kilkadziesiąt razy: — „Miałeś ojca?” — na co kotek na pewno odpowie: — „Miauu”.

Należy też mieć w domu trochę starych połamanych mebli i popsutych maszynek elektrycznych. Chłopaka bawi taka „wieczorna dłubanina”. Siedzi, majstruje, naprawia, gwizdże sobie przy tym i jest zadowolony. Bawi go, gdy zespuły kontakt „kopie” lub gdy się młotkiem przy wbijaniu gwoździ uderzy po palcach. Zepsutych starych przedmiotów stanowczo nie należy z domu wyrzucać, zawsze się mogą przydać jako zabawki dla pana. Gdy ich nie będzie, zacznie z braku zabawy psuć gramofon albo naprawiać radio, że zupełnie przestanie grać.

W domu, gdzie jest duży chłopiec-mąż, powinny także znajdować się w bibliotece powieści detektywistyczno-kryminalne — pamiętajmy, że te powieści, które nas pasjonują, zupełnie im się nie podobają.

Dostarczenie zabawek chłopcu-mężowi jest rzeczą niezmiernie ważną. Gdy ich w domu nie będzie miał, pójdzie „na lale”, a to znów pociągnie zabawę z naszym sercem, które bardzo tego rodzaju zabaw chłopięcych nie lubi...

MONOPOLKI

Nie bądźmy z tych, które na różne rzeczy mają swój monopol i nie pozwalają, ażeby im ktoś ich monopol naruszył. Najczęstszymi monopolami naszych znajomych są: „ciężka praca”, „choroby” i „wychowanie dzieci”... Jak brzydko spojrzą na nas, gdy na ich jęk: — „Ach, nie masz pojęcia, jak się przechorowałam!” — odpowiemy: — „Ja też w tym samym czasie chorowałam przez kilka tygodni”. — „Aleś tak nie cierpiała — broni swego monopolu specjalistka od chorób — chciałabym zobaczyć, co byś ty była wyprawiała na moim miejscu”.

Bardzo często spotykanym typem monopolki jest ta od „wychowania dzieci”:

— Mnie powinnaś oddać na jakiś czas twojego Leszka, zobaczyłabyś, co ja bym z niego potrafiła zrobić. — Co? U ciebie kładą się tak późno spać? U mnie taka rzecz nie istnieje. Z uderzeniem godziny siódmej wszystkie bachory muszą być w łóżkach.

— No dobrze, ale skoro im się nie chce spać?

— Daj mi je na kilka dni, zobaczysz, jak się przyuczą spać wcześniej.

Bardzo irytujące są także monopolki od pracy:

— Ty mówisz o pracy — rechocą z ironią. — Popatrz na moje ręce... (a ręce tyle tylko, że brudne).

— Czy to są ręce kobiety z towarzystwa? No, ale trudno, jak ja muszę sama dzieci prać, męża opierać (w szale chwaleńnia się wszystko jej się już myli), zarabiać się po łokcie, to trudno, abym mogła jeszcze dbać o swoją osobę.

Te „zapracowane” żywią szaloną pogardę dla kobiet piszących, czyli, jak to się mówi, zarabiających piórem.

— Ty, która cały dzień nic nie robisz — mówią przyjaciółce — pisarce — mogłabyś kiedy wpaść do mnie...

— Daruj, ale nie mam czasu...

— Tyyy nie masz czasu? A czy ty wiesz w ogóle co to jest czas? Ty, która tylko czytasz albo piszesz!

Bo pisanie to dla nich to samo co czytanie.

Monopolkom od pracy, gdy zaczynają się natrzasać z pracy pisarskiej, która dla nich jest zabawką, odpowiadam niezmiennie:

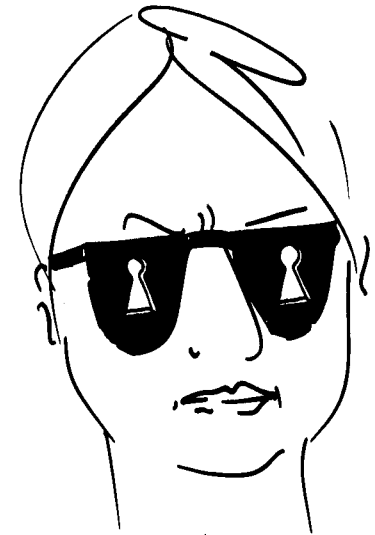
— Masz rację, nic nie robię, mam kupę wolnego czasu. Budzę się rano, a tu felietoniki napisane, bajki dla dzieci również, powieści gotowe. Bo ty nie wiesz... ale krasnoludki za mnie pracują. Stawiam im za to w kącie miseczkę z mlekiem.

„Zapracowana” wcale się nie dziwi ani nie śmieje z tej bajeczki, w ogóle pewnie jej nie dosłyszała, gdyż mózg jej pracuje nad zagadnieniem: dlaczego inne kobiety nic nie robią, a tylko ona jedna jest taka okropnie cały dzień „zapracowana”...

OKULARNICE

Po wojnie wzmógł się znacznie ciężar „gatunkowy” niektórych kobiet. Powodem tego jest, że przeważnie jedzą „za dwie” — za siebie i za te, które sobie na obfite żarcie nie mogą pozwolić. Jest to może bardzo „społeczne”, ale przez to dawne kobiece „węzowe” linie zatraciły się kompletnie. Dziś być obfitym należy do bogatego tonu — dawniej, wprost przeciwnie, tuszę i tłuszczę zostawiało się kobietom z ludu, a elegantki chcąc zachować ową „węzową” linię dręczyły się głodówkami. Ażeby mimo to upodobnić się do węzów, a raczej do węzyc, noszą olbrzymie słoneczne okulary niby wąż okularnik. W okularach tych, często w białej oprawie, wyglądają nie tylko jak węże okularniki, ale również jak małpy. Specjalnie są podobne do pewnego gatunku, który w zoologii nosi nazwę „małpeczka czyli matolek”.

Może nigdy moda nie była tak nielogiczna jak obecnie. Całe zastępy, całe legiony mężczyzn zabrała nam wojna, kobiet jest bez porównania więcej, konkurencja przez to szalona, a mimo to kobietki robią wszystko możliwe, aby się pobrzydzać. Kobiety Wschodu zakrywały sobie twarz jako „część ciała” najnieprzyzwoitszą, ale za to pokazują oczy w całej ich pełni. W oczy wkładają cały swój zapas kokieterii i kobiecego kunsztu uwodzenia. Podkreślają je silnie „kohlem”, kładą pod nimi interesu-



jące cienie. Wiedzą dobrze, że oczy to szybki, przez które człowiek patrzy na świat, i że przez te szyby widzi się wyraźnie, kto za nimi stoi. Starają się więc, ażeby ten ktoś, który przez nie patrzy, był łagodny i namiętny, tkliwy, wyrozumiały i litościwy dla wad męskich.

Mądre i tak szalenie kobiece damy z czasów Guy de Maupassanta nosiły na twarzach gęste woalki w kropki, ale wśród tych kropek największymi i najciemniejszymi były źrenice, często dla powiększenia zakropione atropiną.

A teraz? — Pożal się Boże! Sunie ci przez ulicę tłusta kibić odziana w kwiaty, bez kapelusza (choć wiadomo, co umiejętnie dobrany kapelusz potrafi czynić za cuda), potargana fryzura zastąpić ma kapelusz. Jako jedyna ozdoba twarzy — wielkie, słoneczne, zielone lub szafirowe okulary. Noszą je przy tym z takimi minami, jakby owe szpecące szkła były jakimiś akcesoriami sportowymi, jak rakieta, wiosła lub siatka z piłkami. Patrzcie — mówią ich noski — jakie jesteśmy sportowe, „dzielne na piechotę”, szalenie nowoczesne, chociaż może pobrzydzone, ale właśnie ta nasza brzydota — to jest prawdziwy szyk, tak jak trzypiętrowe sandały na korkach, noszone dawniej tylko przez te osoby, które miały jedną nogę krótszą. Tej okropnej mody na pewno nie wymyśliły Paryżanki, tylko może wiedźma z bajki o „Jasiu i Małgosi”...

Zmiłujcie się kobietki, nie pobrzydzajcie się tak straszliwie, noście z powrotem duże, wyczesane oczy i wielkie kapelusze, rzucające łagodny cień na twarz, kapelusze jak ogródki lub kosze z owocami. Nie myślcie, że i tak, mimo tych okularów, stosownych dla starego profesora ślepeca, którego prowadzi wierny pies, lub dla czarownicy, jesteście czarujące i bezwzględnie dla mężczyzn atrakcyjne. Tym zaś, które pod żadnym warunkiem nie będą chciały zrezygnować z olbrzymich ciemnych szkieł, noszonych nawet w pochmurny dzień, radzę jeszcze do kompletu wybić sobie z twarzy jeden przynajmniej ząbek z przodu. Jak się pobrzydzać to na całego.

Jeżeli mam się komu spodobać, to i tak się spodobam — prawda, koteczki?...

SKĄPSTWO

Wszyscy zrobiliśmy się teraz trochę skąpi. Życie przestało być drogim naszemu sercu, natomiast stało się bardzo drogie naszej torebce — czy portfelowi. Niespodziewanego gościa, który nas odwiedzi w porze obiadowej witamy nieco fałszywym uśmiechem, jako że „gość w dom — koszt w dom”.

Skąpstwo a oszczędność to wielka różnica. Oszczędna, ale gościnna pani domu, gdy gość wpadnie do niej w porze obiadowej, nie częstuje go mięsem albo inną potrawą, lecz bardzo serdecznie talerzem zupy.

— Doskonała zupka, może pan pozwoli talerzyk.

Zupy jest zawsze dosyć, taka jest jej cecha i właściwość, więc poczęstowawszy gościa talerzykiem zupka nie robi się nikomu z domowników krzywdy. To samo jest ze szklanką herbaty albo „płynem towarzyskim”, pod którą to nazwą ukrywa się kawa „Enrilo” lub „Z dzbankiem”. Z cukrem do owych „płynów towarzyskich” jest bardziej skomplikowana sprawa, zdarzają się czasem roztargnieni, którzy rozmawiając z tobą machinalnie sypią do kawy jedną łyżeczkę cukru za drugą. Przewidując taką ewentualność, należy zawsze napełniać cukrem tylko ćwierć cukierniczki. Tego rodzaju nastawienie do gości nie nazwiemy jednak skąpstwem, ale racjonalną oszczędnością, której nikt nie może brać za złe. Prawdziwe skąpstwo wygląda zupełnie inaczej. Skąpa pani domu mówi do przypadkowego gościa:

— Pan nie ma ochoty na herbatę, nieprawdaż?

— Nie częstuję pana zupką, bo nie wiem, czy by panu smakowała.

JAK ZACHOWAĆ MŁODOŚĆ?

— Wiem, że pan nie pije wódki, więc nie nalewam...
Skąpa pani domu wszystko przewiduje z góry i mówi za gości

— Państwo są już na pewno po kolacji — i przy tych słowach nakłada na swój talerz smakowity kotlet.

Znałam jedną panią domu, która przyznała mi się, że szklanka herbaty lub kawy, którą musi podać gościowi „to tak, jakby mi ktoś nóż wbijał w serce”. Ta przynajmniej była szczerą.

Gdy mąż jest gościnnie, a żona skąpa, wówczas sytuacja jest skomplikowana:

MAŻ Marysiu, mamy przecież jeszcze pół litra wódki w szafce. Przynieś, napijemy się za zdrowie miłych gości.

ŻONA Pół litra wódki? Przecież wytrąbiłeś już dawno...

MAŻ Niemożliwe. Zaraz pójde zobaczyć...

ŻONA Nigdzie nie pójdziesz, bo klucze wzięła ze sobą gospo-
sia na miasto...

MAŻ Jak to, przecież przed chwilą tu leżały.

Żona jest coraz bardziej zdenerwowana, mąż coraz bardziej uparty. Goście mówią, że absolutnie nic nie będą pić. W końcu niedomyślny pan domu znajduje butelczynę i z tryumfem stawia ją na stole. Żona błada z wściekłości odwraca do góry nogami kieliszek (zwyczaj w złym guście, którego radzę unikać) i mówi gorzko:

— Tylko mnie proszę nie nalewaj!

Goście tą całą sceną stropieni wypijają po kieliszku, żegnają się i wychodzą. Państwo domu zostają sami z nie dopitą flaszką i kłócą się do późnej nocy.



Problem ten przed wojną zaprzętał niejedną starszą główkę. Każda Amerykanka marzyła o tym, ażeby się tak odmłodzić, iżby ją „kidnaperzy” wzięli za „baby” i porwali z mężowskiego domu. Różne kosmetyczki i „panie doktor” podawały w pismach kobiecych bezcenne rady, co robić, ażeby jak najdłużej zachować

młodość i urodę. Jako przykład cytowały zawsze rzymską cesarzową Poppeę, która codziennie kąpała się w mleku oślic, i Ninon de Lenclos, która obkładała się świeżą cielęcina z młodych chłopców, ażeby do późnego wieku zachować młodzieńczą świeżość. Dawały też światłe rady, o których wiedziało już nawet w Polsce kilka kobiet, że „zęby należy po każdym jedzeniu dokładnie czyścić szczoteczką”, a twarz „starannie wymyć i dać pod oczy trochę odżywczego kremu”. Proponowały też chętnie tak zwaną przerywaną głodówkę, co bogate damy rozumiały po swojemu, to znaczy, że spożywały dobre, aczkolwiek lekkie śniadanie, potem przerwa i drugie śniadanie, potem długo, długo nic i obiad. Pisały też w ten sposób: „Nie należy nigdy pracować na czczo, lecz jeśli nas okoliczności do tego zmuszą, powinno się bezwarunkowo przedtem cośkolwiek zjeść...”

Dzisiejsze pięknotki, wyposzczone, wygłodzone brakiem słodczy przez czas wojny, myślą raczej o pomadce Wedla niż o pomadce do ust Guerlaine'a, i więcej o ciastkach z kremem niż o kremach na twarz. Jedzą, pchają w siebie ile się da, rozpychając sobie żołądek niczym małpeczki żuchwy, „na zapas”. A przy tym, co gorsza — piją. Nie rozumieją już żadnej zabawy, flirtu, kolacyjki, przyjęcia bez „ochleju”. Bardzo młodym kobietom działa to nawet dobrze na urodę, oczy im się błyszczą, policzki też, jak gdyby pociągnięte czerwonym lakierem. Ale gdy kobieta skończyła trzydziestkę, niech uważa z piciem, od tęgiego popijania cera trzydziestolatki mętnieje, oczy nabiegają krwią i robią się takie, jak to powiedziała przyjaciółka przyjaciółce: — „Jakie ty masz śliczne oczy — takie niebieskie z czerwonym...”

Posłuchajmy, co nieoceniony Mikołaj Rej z Nagłowic w *Żywocie człowieka poczciwego* pod tytułem „Narzekamy na krótkość życia, a sami je sobie skracamy” mówi pijącym: „Nie jeden mówi, iż dłużej kruk albo jeleni żyw będzie niżli człowiek — a to nie ma twarz (nie ma racji). — Ba! Wleje ty jeleniowi pół garnca gorzałki w gardło, ujrzysz, będzielić długo bujał. — Albo także krukowi, nasyp mu jeno pieprzu w nos, a za lej małmazą, wierz mi, iż ci nie będzie długo krakał.

A przesię, to zowią sławą i zachowaniem. O nędznaż to sława i sprośne zachowanie, przez które i żywot sobie skrócamy, a czasem się jako w nieme zwierzęta obracamy”. W „nieme zwierzęta” — jak słusznie! Po kilku niemiłych do słuchania gardłowych dźwiękach w łazience, zalana zasypia na trupa i dopiero rano się budzi z powieściowym zapytaniem: — „Gdzie ja jestem? Co się ze mną działo?” A działo się nieraz paskudnie... Oczywiście, że o fatalnych skutkach chlania piszą najplastyczniej i najbardziej fachowo tylko ci pisarze, którzy sami nigdy nie stronili od kieliszka, jak „przymierzając” stary Mikołaj Rej, znany w swojej epoce popijbrat.

TEŚCIOWA

Bardzo często tak się zaczyna:

Kochali się, było im razem dobrze. Gruchali tak, że wokół milkły gołębie i koty. Nagle — do ich gniazda włazi sroga, rozczapirzona wrona — teściowa, i od razu nawiązuje się konflikt tragiczny. Już nie mąż z żoną, ale córka z matką gruchają po kątach, milkną, gdy śmieszna figura-mąż wchodzi do pokoju. Stara samica młodej samicy daje światłe rady, że męża należy krótko trzymać, że mąż jest głową domu, ale żona szyją, która tą głową kręci itd. Po jakimś czasie biedny mąż dowiaduje się, że „mężów można mieć wielu, a matkę tylko jedną” i że w ogóle powinien cicho siedzieć jako osobistość nieważna i na drugim planie. Długo znosi ten okropny stan rzeczy, szpiegowany na każdym kroku, podsłuchiwany pod drzwiami i pomiatany, wreszcie pokazuje żonie, że „żon można mieć wiele — a taką teściową tylko jedną”, urywa się i wszczyna kroki rozwodowe, mimo że dalej kocha swoją połówkę. Takich wypadków jest więcej niżby się zdawało, i najczęściej powodem rozwodów jest nie inna kobieta, ale baby, rodzinne baby. Poza tym nikt z nas — a szczególnie teściowe — nie lubią patrzeć na cudzą miłość. Znosi się to tylko na ekranie. Obrzydza nas spoglądanie na cudze gruchy, sploty i cmoki, a młode zakochane małżeństwa lubią się bardzo swoją miłością popisywać przed drugimi.

Rada jest na to jedna i świetna: nie patrzeć, nie być wciąż z nimi razem, niech ich miłość spokojnie wygotuje się bez świadków i spojrzeń publiczności.

Matki żon są jednak masochistkami, lubią się dręczyć widokiem cudzego szczęścia i gwałtem pchają się między młode małżeństwa. Powodów wytaczają wiele: są biedne, same (mąż



typowych „teściowych” zwykle dawno nie żyje, czemu nie można się dziwić), nie mają mieszkania itd. Młoda żona jednak, jeżeli pragnie utrzymać swoje „ognisko” domowe, powinna być pod tym względem nieubłagana. Znaleźć dla mamusi pokoik na mieście można zawsze, żadnych mam, żadnych siostrzyczek — małżeństwo to nie szachy i żadnych „kibiców” nie potrzebuje.

BABCIA

Czy jesteś może taką normalną babcią, którą wnuki nazywają „Bu”, „Bomba”, „Babela”, „Bania” itd. Tym się nie potrzebujesz przejmować, wiemy z naszego życia rodzinnego, że wszystkie takie pieśczośliwe przezwiska zwykle zaczynają się na literę B. Kochający mąż mówi do swojej żony: „Babku”, „Babusi”, „Bebi”. Znam jedno bardzo się kochające małżeństwo, w którym ona mówi do niego „Besiu”, a on do niej też „Besiu”. Mętne ich tłumaczenia, że poznali się w kamienicy pod numerem 12-bis nie zasługują na poważne traktowanie.

Nosisz zatem pieśczośliwe przezwisko, dajmy na to „Bunia”, ale dlaczego przywdziałas do tego wieczną żałobę? Czy to żałoba po twojej minionej młodości? Przecież twoje dzieci i wnuki żyją i mają się dobrze. A może chcesz przez to zaznaczyć, że należysz już do krainy cieni... A teraz zdradź mi, Babciu, kto ci szyje te długie do kostek czarne sukniska, te okropne luźne kaftaniki, jaka modniarka fasonuje ci na głowie te kapelusiska rozczłapane, bez mody, nie należące do żadnej epoki? Czy to może wszystko dary amerykańskie? Ale przecież o owych darach nie było ongiś mowy, a ty od lat chodzisz tak samo ubrana. Przyznaj się, że masz za szwaczkę sowę, za krawca kreta, a te czarno-szare tkaniny, w które ubierasz się latem, tka dla ciebie pajęczycza. Zdradź nam również adres twego dziwnego szewca, który robi ci te ogromne, trumienne buciska z wystającą piętą, za szerokie w kostce. Nie czujesz się już kobietą, zrezygnowałaś z wyglądu, czujesz się czymś pośrednim między chorą wroną a księdzem, który kocha małe dziatki, ale przyznaj się, że jest w tobie przede wszystkim mnóstwo jakiejś „kontrkokieterii”. „Jestem



stara i chylę się do grobu, to dlaczego nie mam sobie pozwolić na to, ażeby być jeszcze starszą, jeszcze brzydszą i bardziej zgarbioną”.

Tak jak ideałem każdej młodej dziewczyny jest upodobnić się do znanych aktorek filmowych, tak twoim ideałem jest upodobnić się do wiedźmy z bajki o Jasiu i Małgosi. Bo gdyby tak nie było, Babciu, to byś sobie powyrywała te długie włosy na brodzie, wprawiła sobie zęby, poszła czasem do fryzjera. Mówisz na to, że jesteś pozbawiona środków do życia i że jesteś na łasce rodziny. Nie zawsze. Przed wojną pamiętam cię jako bogatą właścicielkę dóbr wiejskich, gdy maszerowałaś rano do kościoła w obdartym, zakurzonym, czarnym płaszczu z wyleniałym futrzanym kołnierzem, na którym jak srebrne ozdoby na katafalku wiły się potargane siwe włosy. Dziś wiem, że posiadasz wraz z twoją córką sklepik spożywczy, który przynosi niezłe

dochody, ale tobie szkoda wydawać pieniądze na swoją własną osobę, „bo i po co? — i dla kogo?” Dla kogo? Dla rodziny, dla wnuków, którym przyjemnie byłoby posiadać elegancką babcie z siwymi loczkami, w modnie uszytej choć nie za krótkiej sukni w czarno-białe kratki. Ale ty, Babciu droga, jesteś złośliwa i lubisz nas straszyć swoim wyglądem.

Przysięgnijmy sobie: jeżeli doczekamy tak zwanego pięknego wieku (określenie, które poszło z ironicznego wydrwiwania, tak jak się mówi komuś, który sobie całą twarz usmarował atramentem: „Popatrz do lustra, jak «pięknie» wyglądasz”), wtedy będziemy się wzorować na starych Francuzkach i Amerykankach, które do końca życia ubierają się w kolorowe kraty i białe suknie latem...

HANDLARKI

Każda wojna pozostawia po sobie mnóstwo kalek fizycznych i moralnych. Nasze znajome kobiety mają na pozór wszystko w porządku, dwie nóżki w „gazówkach”, dwie rączki i główkę na karku, i „dom na głowie”, ale jednak... czegoś im brakuje. Ich oczy są zimne, twarde, choć pełne blasku jak brylanty *blauweiss*, tak poszukiwane podczas okupacji. Ich serca, nieczułe zupełnie na powojenną nędzę bliźnich, też przypominają „kamiki”, nowe i stare „amsterdamy”. Nauczyły się podczas wojny biegać z „towarem” i chcą ten lekki chleb „twardy” i „miękki” uprawiać dalej, mimo że sklepy zawalone są towarem wszelkiego rodzaju, a uczciwej pracy jest pod dostatkiem. Pamiętamy dobrze te nasze znajome, i co tu gadać, nas same, jakieśmy się bawiły w... magików. Tu z kieszeni od płaszcza wyciągnęły się nagle kupon jedwabiu, z buta obce waluty, z ręcznej torby żywą kurę albo martwego lisa, nie mówiąc już, ile się miało na sobie „za pazuchą” (część ciała nieokreślona ściśle, tak jak „łono”) butelek z gatunkową wódką lub francuskim winem. Zabawa ta, na której się zresztą doskonale zarabiano, miała wówczas posmak bohaterstwa. Kobiетки chodziły ubrane jak laleczki, ale wszystko, co miały na sobie, to był „towar” lub „lokata”.

Rozmowa dwóch znajomych pań wyglądała wówczas mniej więcej tak:

— Pokaż, jakiego masz pięknego srebrnego lisa.

— Och, błagam, nie ruszaj go, bo to moja „lokata”. Raz go tylko włożyłam i więcej nosić nie będę.

— I śliczny nowy płaszcz.

ISTAMBUL



— Płaszcz mam na sprzedaż, to nie moja własność, chcesz, to sprzedam ci go za dwa tysiące złotych.

— Dobrze, a w czym wrócisz do domu?

— Och, głupstwo, pożyczysz mi jakiś stary grat...

— Gdzieś kupiła te pończochy?

— To jest „towar”, włożyłam je, bo nie miałam w worku miejsca, dam ci je za trzysta złotych.

Były też i „grosistki”. Te, gdy się od nich chciało kupić kilo cukru, proponowały cały wagon, ale... gwoździ. Handlarki te były zimne, bezwzględne, nieubłagane, patrząc ci prosto w oczy kłamały jak z gazet, że prawie nic na tym towarze nie zarabiają, i że sprzedają ci go tylko z uprzejmości. Najbliższym osobom z rodziny nie byłyby sprzedawały nic bez swojego zarobku. Nauczyły się wykorzystywać tak zwane okazje, a czymże były te „okazje”, jeśli nie ostatnią biżuterią osób, którym już śmierć głodowa zaglądała w oczy? Handlarki wojenne, same walcząc o byt, zatraciły w tym ponurym sporcie

wszelkie poczucie litości, sympatii (już nie mówiąc o miłości), serce i duszę.

Dzisiaj pragną w ten sam sposób żyć dalej, pożyczają najbliższym swoim przyjaciołom pieniądze na wysoki procent, żądając przy tym „zastawu”. Kupują w hurtowniach towary taniej i sprzedają je najlepszym swoim przyjaciołom o pięćdziesiąt procent drożej. Naturalnie wszyscy liczymy się z tym, że one inaczej nie mogą, nie potrafią i prosząc je o załatwienie najmniejszej sprawy, obiecujemy im od razu procent lub odpowiedni prezent.

Zrób to dzisiaj — a dostaniesz jutro...

Bardzo to jest smutne i nieludzkie. Jeżeli która z nas nosi jeszcze wciąż w sobie wojenną handlarkę, niech zażyje jakiś silny emetyk i zrzuci ją. Inaczej — o, kobiety! Zatraciecie zupełnie kobiecość, która dawała wam mężczyzn, a co za tym idzie dzieci, dom i czasem dużo pogodnego szczęścia.

- Co ty chcesz od jej rąk, śliczne, pulchne rączki.
- Ach, głupstwo, nie ma o czym mówić, kucharki miewają takie ręce, ale cóż to szkodzi... No i ten kolor lakieru, ceglasty, ordynarny...

Więc, drogie przyjaciółki, spróbujcie z „tylkami”, należy jednak robić to delikatnie, dyskretnie, a same przekonacie się o dodatnich rezultatach.

„JAJANIE”

Co druga kobieta zakochana jest w sobie. Ostatecznie mogłaby gorzej wpaść...

Ta część jej samej, która ją tak kocha, jest przecież szalenie wyrozumiała i roztkliwia się nad nią jak matka nad własnym, trochę nieznośnym dzieckiem.

— „Ja jestem niemożliwa — mówi zaśmiewając się — ciągle coś gubię. Wczoraj zgubiłam śliczny nowy parasol i to w dodatku nie mój, trudno, będę go musiała odkupić, ale nic nie szkodzi, to będzie kara za mój brak pamięci...” Ponieważ jednak nikt ze zgromadzonych osób nie broni jej, więc robi to sama:

— A to wszystko dlatego, że mam taką artystyczną naturę. Nie wiem, czy wiecie, że ja miałam wstąpić na scenę, tylko rodzice mi nie pozwolili. Minęłam się ze swoim powołaniem...

— Ale i tak nie wygląda pani na pokrzywdzoną przez los — zauważył ktoś z obecnych.

— Bo ja, widzi pan, mam taką szczęśliwą naturę, że godzę się ze wszystkim. Jest źle — nic nie szkodzi. Było dobrze — trudno. Zawsze sobie myślę — mogło być gorzej. Taka już jestem...

Powyższy monolog prowadzi jedna z takich, które by można nazwać „jajarkami”, ponieważ każde ich zdanie zaczyna się od słowa „ja”. Czasowników używają one tylko w stosunku do własnej osoby: „poszłam”, „powiedziałam”, „obzarałam się”, „popiłam” itd. Opowiadają o sobie wszelkiego rodzaju androny, żeby tylko mówić jedynie i wyłącznie: o tym swoim ukochanym, rozpsutym bachorze, o tej swojej rozkosznej córeczce, jednym słowem o... JA.

— Nie macie pojęcia — mówi zachłystując się wprost z rozkoszy mówienia o sobie — jak ja się wczoraj zalałam. Nieprzytomną odwieźli mnie do domu, i co gorsza, nic nie pamiętam, co wyprawiałam.

Z lubieżnej przyjemności mówienia tylko i wyłącznie o sobie, kobiety chodzą do doktora i do spowiedzi. Wszyscy myślą, że pani JAJA jest taka religijna, a ona po prostu cieszy się, że ktoś przez trzy kwadransy będzie cierpliwie wysłuchiwał jej opowiadań o sobie. Nieraz z jakiejś wyrafinowanej kokieterii mówią o sobie rzeczy wprost skandaliczne, ale przecież im chodzi tylko o to, ażeby ukochane słowo „ja” było wciąż w obiegu ich języka.

Zwracam tutaj uwagę „jajarkom”, że tak ważne dla nich fakty jak to, że się wyspały, że poszły do dentysty, że ginekolog, u którego były „pierwszy raz w życiu”, powiedział im: — „Pani ma mimo dwojga dzieci ciało jak panienka” — nie obchodzi absolutnie nikogo, poza jedynym ogłupiałym, który je kocha, a który i tak wolałby, ażeby przestały „jajać”, bo wówczas mógłby je zacząć ognić całować.

PRZYJACIELE MĘŻA

Bardzo groźnym elementem dla spokoju domowego ogniska, może jeszcze groźniejszym niż nasze własne przyjaciółki, są nieżonaci przyjaciele męża. Do świeżo ożenionego kompana mają żal i w jakiś czas po jego ślubie składają młodej parze życzenia, a mężowi — kondolencje: — „Aleś wpadł stary żłobie!” — mówią, gdy się znajdują z nim sami. — „Dobrze ci było, miałeś na wszystko, a teraz co? Bidę klepiesz, babę sobie wzięłeś na kark, idiota jesteś”. Piją razem i wzdychają, przypominając mu wspólne lumpki z Zośką, Maryską, Krysią... — „Dobre czasy były, co?...”

— Pewnie, że dobre! — przyznaje żonaty i w tym momencie gorzko żałuje tego, co zrobił.

— Dałeś się złapać jak ostatni osioł!

Żonaty jeszcze się broni:

— Ale musicie przyznać, że moja baba to „taaka” baba!

— A ty, „taaki” stary dureń!

Żonaty jest okropnie zawstydzony, myślał, że zaimponuje kompanom, że pierwszy z nich wszedł na śliską drogę męża i ojca, a tymczasem oni się z niego nabijają. Wraca do domu zły i zgorzkniały. Młode ładne stworzenie przytuła się do niego, ociera „całym ciałem”, ale on odsuwa je obojętnie i niechętnie.

— Daj ty mi święty spokój! — mruczy.

— Co ci się stało? Czy masz jakąś przykrość?

— Psie życie mam i tyle! — wybucha i z miną tragiczną kładzie się na tapczanie.

Żonka ma łzy w oczkach, myślała, że mu stworzyła życie „kocie”, pełne amorów, głaskań, życie puszyste i przytulne,

a tymczasem on to nazywa „psim życiem”. Cóż to się nagle stało? Wydawał się taki z nią szczęśliwy. Może jakaś inna kobieta?... A tymczasem nie inna kobieta, ani też nieudane interesy, tylko „dobrzy przyjaciele”...



Rada: jak najrzadziej wpuszczać do domu kompanów męża. — „Czy Jędrak jest w domu?” — „Nie ma, wyszedł przed chwilą”. — „A kiedy wróci?” — „Nie wiadomo”. — „Czy jutro go zastaniemy o tej porze?” — „Na pewno nie” — i zatrzaskać im drzwi przed nosem... To, że cię nazwą „wstrętną jędzą”, niech cię nic nie wzrusza. Nawet gdybyś była dla nich jak najuprzejmniejsza, nie znajdziesz łaski w ich oczach. Radzę zapraszać do domu tylko żonaty, ci są zupełnie nieszkodliwi, szczególnie gdy przychodzą ze swoimi żonami.

NA ZASADZIE FASOLI

Gdy po wielu latach bezowocnych zabiegów małżeńskich urodzi się kobiecie upragniony bachorek, to zwykle owa kobieta dostaje na punkcie dziecka tak zwanego bzika. Przy takim królu nie wolno rozmawiać, bo się przebudzi, gości prowadzi się na palcach do kuchni, bo stamtąd ich głosy do króla nie dojdą, nie wolno nawet w sąsiednim pokoju palić, bo dym może mu zaszkodzić, lepiej w jego obecności nie pić, bo może się zawczasu, już od kolebki, nauczyć chlania. Kiełbasy też w obecności Monarchy gościom nie podawać, ponieważ dziecku może się też zachcieć zjeść coś takiego.

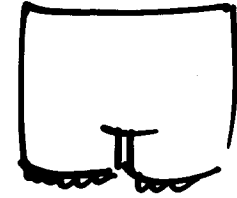
Dziecko takie oczywiście źle się chowa, urodzony w tym samym czasie synek dozorczy, wychowujący się między kubłami z węglem a skrzynią z marchwią, jest o wiele większy i bardziej rozwinięty niż mały król. Królik albo kaszle, albo go brzusek boli, co zje, to wymiotuje, gryzie tylko książki i zabawki, ale bułki ci nie potrafi ugryźć i połyka tylko papki, do nocniczka trzeba mu włożyć na dno kolorowy obrazek, inaczej nie zechce zrobić tego lub owego... Terroryzuje przy tym biednych rodziców straszliwym rykiem, przypominającym ryk lwa na pustyni. No i wciąż jest dziwnie mały. Rodzice króla zerwali wszystkie stosunki ze swoim najlepszym przyjacielem — malarzem, ponieważ ujrzawszy go wykrzyknął: — „Eee, całkiem wam się nie udał, z tego już nic nie będzie. Radzę wam zrobić nowego, lepszego; ja, gdy mi się jakiś obraz nie uda, to odkładam płótno i zaczynam nowy obraz”.

Na dziecko nie chuchać zanadto, i nie patrzeć bezustannie, jak się rozwija, jak rośnie, bo to tak samo jak z tą fasolą.

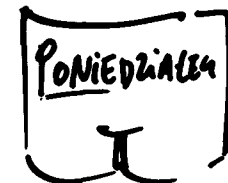
Jak wiadomo, nic tak szybko nie rośnie i nie rozwija się jak fasola, mówi się nawet, że „w oczach rośnie”. Otóż nieprawda! czego dowodem następujący przykład: kiedyś zasadziłam sobie w doniczce ziarnko fasoli (bez związku z tym faktem), zachorowałam na złośliwą gripę i musiałam położyć się na jakiś czas do łóżka. Dla eksperymentu postawiłam sobie koło łóżka doniczkę z kiełkującą już fasolą i wciąż na nią spoglądałam — nie urosła ani o milimetr. Rosła natomiast tylko wówczas, gdy spałam...

Rada: nie podglądajmy przyrody, dajmy się jej spokojnie rozwijać. Zwierzęta, gdy czują zbliżającą się śmierć, zaszywają się wstydliwie w najdziksze zarośla, nie chcą, ażeby ktoś był świadkiem ich śmierci. Istoty w trakcie rozwoju tak samo nie znoszą, ażeby ktoś był nieustannym świadkiem ich początkującego życia.

TRAGICZNY PAMIĘTNIK



W pewnym domu zaginęła nagle córka, młoda dwudziestoletnia dziewczyna. Przeszła cała noc i dzień — a córki nie ma. Nagle pod wieczór służąca przylatuje z okrzykiem radości, że panienka się znalazła. — „Na strychu jest!” — woła. Rodzice szybko udają się na strych, a tam córuś nieprzytomna leży na starym materacu. Pokazało się, że biedna otruła się. Na szczęście różnymi zabiegami przyprowadzono niedoszłą denatkę do życia. Nigdy jednak nie chciała się przyznać, dlaczego usiłowała targnąć się na swoje życie. Zbrodnicze instynkty? Czy też nieszczęśliwa miłość? Tymczasem ani jedno, ani drugie. Miała zawsze bardzo miły, dobry charakter, a jej narzeczony dowiedziawszy się co zaszło, przez trzy dni nie chciał przyjmować żadnego pokarmu z wyjątkiem alkoholu. A więc? Wytłumaczenie tego jej desperackiego kroku znalazła kiedyś, w dłuższy czas po wypadku, jej matka w pamiętniku, który dziewczyna pozostawiła na stole. Daty poszczególnych kartek poprzedzały o jakieś dziesięć dni datę jej samobójczego kroku. Oto one:



Jestem prawdziwą demokratką, bo chciałabym mieć wszystko to, co inni. Na przykład cieniutkie gazowe pończochy perlony. Te pończochy to dla mnie jakiś gaz trujący. Od

czasu, gdy ujrzałam je w sklepie, chodzę oczadzona. Ale, niestety, nie dla uczciwie pracujących tego rodzaju czarodziejskie cacka. A przecież nie zrobię fałszywego kroku ani dla bućków, ani dla pończoch. Kupiłam sobie takie, co to je kupcowa rozciąga na ręce, ażeby się wydawały cieńsze, a potem w domu okazują się grube i świecące. — „Ale ci nóżki zgrubiały!” — zauważył mój narzeczony Lalutek.



Te świecące pękły, więc rozzłościłam się i kupiłam sobie cienkie, bardzo drogie (pięćdziesiąt procent gazu). Ażeby tak samo nie trzaśły, nie naciągnęłam ich zbyt, tak że się trochę marszczyły na łydce. — „Że ty też zawsze masz złe naciągniętą pończochę — zauważył momentalnie — proszę cię, popraw to sobie, bo inaczej nie wyjdę z tobą do miasta”. Jak naciągnęłam — strumyczek oczął popłynął wzdłuż łydki. — „Wstąp do sklepu — rzekł — i kup sobie nowe”. Miałam w torebce ostatnie dwieście złotych, więc kupiłam najtańsze jakie były. — „Paskudny kolor — orzekł mój narzeczony. — Twoje nogi przypominają w tych pończochach nogi konia-kasztanka — tylko że o wiele grubsze”.



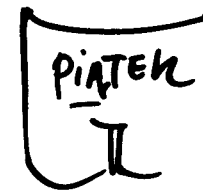
Te też pękły. Mała szkoda — ale dwieście złotych pękło.



Postanowiłam zacząć chodzić bez pończoch, nie ma innej rady. Ostatecznie, chociaż to zima, zbliżamy się do lata. Nie „nogę” już dłużej finansowo wytrzymać z tymi pończoszydłami... Napisałam zamiast „mogę” „nogę” — typowy uraz. Całą niedzielę siedziałam w oknie chcąc się opalić, ale słońce zaczerwieniło mój nos, a nóg nie zaróżowiło nawet. Nasmarowałam je ciemnym płynem imitującym opaleniznę, myślałam, że Lalutek da się nabrać — ale gdzie tam.

Nie wiem, czy niektórzy mężczyźni przez wrodzoną skromność tak wciąż spuszczać oczy, ale zawsze, nawet gdy z nimi rozmawiamy, to patrzą na nasze nogi. — „Jak sobie w tej chwili nie zmyjesz z łydek tego brązowego pokostu, to nie pójdę z tobą do kina — zagroził narzeczony. — Ty miewasz pomysły doprawdy spod ciemnej gwiazdy” — dodał ironicznie.

Rozpląkałam się naumyślnie, ażeby nie pójść do kina — bo wszystkie moje pończochy są w „łapance”, a wstyd mi się przyznać, że nie mam ani jednej pary w domu. Lalutek okazał mi nawet dużo serca. — „Ja bym cię wziął nawet w jednej koszuli” — mruknął namiętnie. Wierzę mu, ale nie ma głupich!



Lalutek zachwyca się, idiota, nogami Danusi. Mówi, z przytykiem do moich: — „Widzisz, to są ładne nóżki”. A ona ma nogi jak nowoczesny posąg, to znaczy grube i od dołu

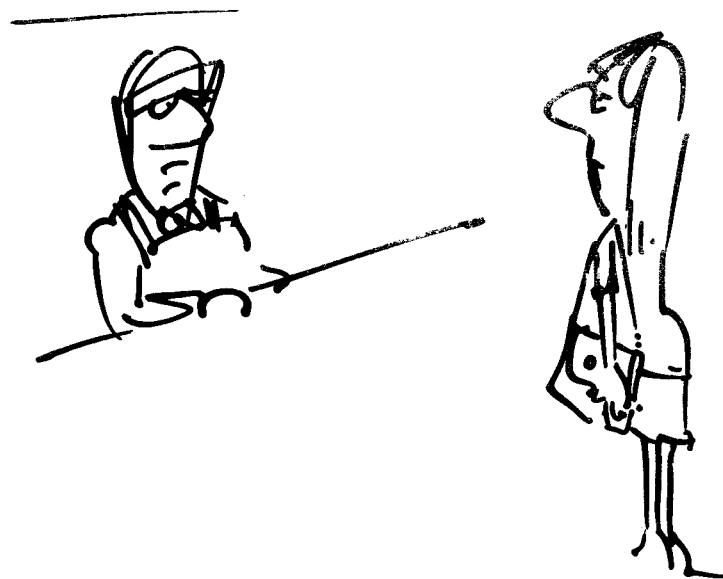
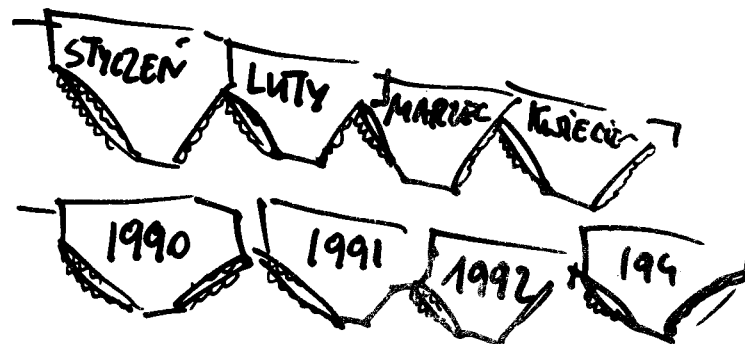
do góry równe — tylko że wydra nosi kryształki z czarnym szwem.



Trzy pary wykupione z „łapanek” pękły, gdy się zaczęłam śmiać. Poszłam na ciuchy, sprzedałam tak: trzy suknie, stary płaszcz, dwie pary butów i nareszcie mam wymarzone kryształki. Co tam głupie graty, wobec szczęścia podobania się mojemu Lalutkowi. Teraz przynajmniej mam miesiąc zupełnego spokoju, bo te cuda podobno nie pękają nigdy.



Piszę w pamiętniku po raz ostatni. Za chwilę mnie już nie będzie na tym złym, podłym świecie. Za moje straszne życie, które składa się tylko z myśli o głupich pończochach, stanę się na pewno aniołem, a aniołów zawsze malują boso. Noszą co najwyżej trepy na płaskich obcasach, tak samo jak święci. Może urodzę się drugi raz na wyspach Mórz Południowych, gdzie dziewczęta biegają i tańczą boso. A „kryształki”? — zapytacie. Odpowiem wam szatańskim chichotem. — „Nie pękają!” — mówicie. Możliwe, że tym kobietom, które nie posiadają kochających narzeczonych czy amantów, nie pękają, ale nie zapominajmy, że Lalutek mnie kocha. Gdy zobaczył moje nóżki w tych osławionych pajęczynkach, dostał istnego szału. — „Jakaś ty dzisiaj śliczna, jaka elegancka! — zamruczał. — Do takich cienkich pończoszek musisz sobie



jeszcze sprawić ładniejsze sandałki”. Potem zaczął się do mnie przytulać i całować mnie...

— Wiesz, — rzekłam przezornie — lepiej będzie, jak zdejmę pończochy.

— O nie! — zawołał — to właśnie mnie podnieca.

Gdy „kryształki” podczas tych Igrzysk Olimpijskich puściły oczka — odsunęłam Lalutka od siebie i nie powiedziałam ani słowa. Moja decyzja pożegnania tego świata skryształizowała się w tym momencie zupełnie. — „Czemu tak nagle posmutniałaś? — zdziwił się mój narzeczony. — Czy o te głupie pończochy ci może chodzi? Nie myślałam, że jesteś taka drobiazgowa. Jak mi się uda jeden interes, to ci odkupię ładniejsze...”

— Nie będą mi już potrzebne — szepnęłam cicho.

Nie żał mi życia zupełnie. Gdy pomyślę, że na tamtym świecie nie będzie nawet mowy o pończochach, to nawet się cieszę...

JANINA PORZĄDNICKA

Bardzo ładne nazwisko i zdaje się, nawet szlacheckie. Janina ma pokój z kuchnią i łazienką, przedpokój — cóż więcej chcieć. Lubisz ją, więc idziesz odwiedzić. Dzwonisz — otwiera ci zajrzawszy przedtem przez „judasza” kto zacz! Ledwo weszłaś, Janina podsuwa ci pod nogi kawałki sukna.

— Tylko proszę cię, nie wchodź bez nich do mojego pokoju, właśnie świeżo posprzątałam.

Suniesz więc po kawałkach sukna do jej pokoju i przypomina ci się, jak byłaś kiedyś w Turcji i w wielkich „baboszach” wpływałaś do meczetu.

Chcesz sięść na wyściełanym wygodnym fotelu, ale Janina rozpaczliwym gestem wstrzymuje cię:

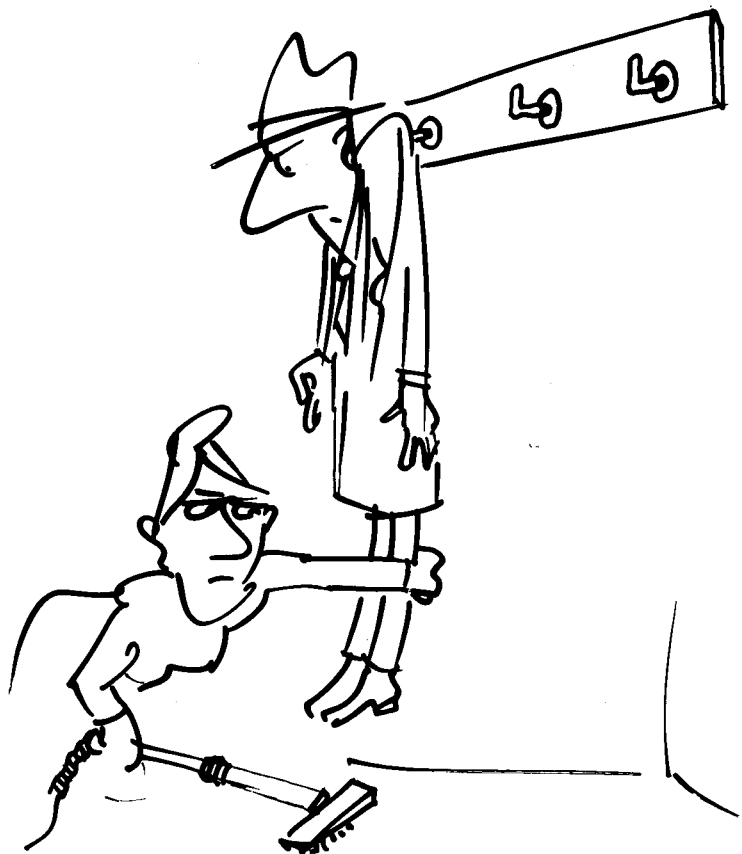
— Wybacz, ale wołałabym, abyś na tym fotelu nie siadała.

— Dlaczego? Nie rozumiem. Przecież fotel jest czysty.

— Właśnie dlatego. Przed chwileczką wyczyściłam go dokładnie watą z benzyną i znów gotów się powalać. Na dworze pada, błoto...

Trochę już dotknięta siadasz na niewygodnym zydelku i wyciągasz z torebki portfel. — „Byłam ci winna pięćset złotych, więc ci je oddaję w samych setkach” — mówisz uprzejmym tonem. — „Jezus Maria!” — Janina stęknęła tak okropnie, że czujesz przerażenie i myślisz, czy nie uważała przypadkiem, że powinnaś jej oddać tę sumę z procentem. Ale nie o to jej chodziło, położyłaś pieniądze na... talerzyku!

— Błagam cię, nigdy tego nie rób! Ten talerzyk będę teraz musiała szorować przez kwadrans, przecież na pieniądzach są różne zarazki, brud... Bóg wie w jakich rękach się znajdowały!



Postusznie, bo takiej Porządnickiej Janiny każdy się boi, idziesz do przedpokoju z płaszczem, ale tam wkładasz go na siebie, żegnasz się z niemiłą gospodynią i uciekasz co krok wyskoczy. Daleko, daleko — do twojego miłego gniazdka, gdzie nikomu nie każesz chodzić na sukiennych szmatach, a mimo to jest raczej czysto i nikt wchodząc nie odnosi wrażenia, że tu mieszka osoba brudna i nieporządna.

Jesteś już bardzo „zniesmaczona”. Z takim wysiłkiem uzbierałaś tę sumę, którą byłaś jej winna, a ona zamiast ci podziękować, jeszcze nudzi jakimś talerzykiem. Jest gorąco, więc po chwili zdejmujesz płaszcz i kładziesz go na poręczy krzesła. Janina rozmawia z tobą, ale wciąż spogląda na płaszcz. Jest jakaś okropnie roztargniona i wcale nie słyszy, co do niej mówisz. W końcu jęklwym głosem powiada:

— Czy nie mogłabyś powiesić płaszcza w przedpokoju? To tak nieporządnie, gdy rzeczy porozrzucane leżą...

KAPELUSZ

Kobieta nauczyła się teraz chodzić bez kapelusza. Głupia to moda i bardzo nie do twarzy. Kapelusz dał kobiecie jakieś poczucie bezpieczeństwa, chociażby przed ową przysłowiową cegłą, która może nagle spaść z dachu, albo przed zaczajoną rywalką, która może nagle wyskoczyć zza węgła i dzielić cię przez łebek parasolką. Mądre i naprawdę szykowne kobiety nie rezygnują jednak z tego dobrego wynalazku i gdy tylko jest po temu okazja, zawsze go chętnie wkładają. Szczególnie chętnie do teatru lub kina...

Oczywiście na podwieczorek do najdroższej przyjaciółki również. Kapelusik był drogi, zbierałaś na niego i odkładałaś przez kilka tygodni i wyglądasz w nim naprawdę jak własna córka. Ledwo jednak weszłaś w nim do najdroższej przyjaciółki — ta, przyglądając ci się bacznie, powiada:

— Może zdejmiesz kapelusz. Będzie ci wygodniej...

— Dziękuję ci bardzo, ale on mi naprawdę wcale nie przeszkadza.

Przyjaciółka najdroższa rezygnuje na razie z zamiaru zderzenia z tobą tej ślicznej ozdoby, ale tylko na razie. Goście się zeszli, rozmawiają, a pani domu wciąż świdruje cię oczkiem.

— Może jednak zdejmiesz kapelusik. Popatrz — szantażuje cię — wszystkie panie zdjęły kapelusze...

— Nie, nie zdejmę go — odpowiadasz już trochę zła — bo nawet nie jestem odpowiednio uczesana...

— Ależ to nie szkodzi — nalega najdroższa przyjaciółka. — Bez kapelusza jest ci o wiele bardziej do twarzy. Naprawdę, zrób to i zdejm. Zobaczysz, jak ci będzie lekko i przyjemnie!...

Nie rób tego nigdy. Rozumiem, że przyjaciółka uczyniła ci okropną krzywdę, że włożyła idąc do ciebie (i tobie na złość) ten śliczny modelik z piórkiem, ale wierz mi, że zmścisz się na niej w sposób bardziej wyrafinowany, jeśli nie zwrócisz na niego najmniejszej uwagi. Będziesz tak długo przelatywać wzrokiem ponad jej głową, aż to ją w końcu zdenerwuje i powie:

— Jak ci się podoba mój nowy kapelusz. Prawda, że ładny?

— Nawet nie zauważyłam, że masz na głowie nowy kapelusz...

Och, takim powiedzeniem dotkniesz ją o wiele bardziej niż starym wypróbowanym sposobem zdzierania jej kapelusza z głowy. Można dokuczać kobietom, bo od tego są, ale szukać w tym małym dokuczaniu, a raczej nakłuwaniu, nowych i niewytartych dróg — to jest sztuka.

NIE DRĘCZ SOBĄ INNYCH

Kobiety, jak wiadomo, myślą tylko i wyłącznie o sobie i o swoim wyglądzie. Myślicie może, że idąc ulicą spoglądają tak ciągle na wystawy sklepowe? Bynajmniej. Wystawy nie-raz, szczególnie w małych miastach, nie są interesujące. Spoglądają w szybach wystawowych na swoje odbicie. W paryskim Louvrze widziałam kiedyś młodzieńską kobietę, która w pewnym arcydziele sztuki, będącym pod szkłem, malowała sobie usta. A jak szalenie cierpią, gdy ich bezcenna osoba ulegnie jakiemuś drobnemu uszkodzeniu. Nikt by tego nie zauważył, ale one, urodzone masochistki, które lubią samoudręczenie, zawsze innym zwracają na to uwagę:

— Nie mogę rozmawiać — mówią półgębkiem — bo mi zęb wyleciał...

— Przecież tego wcale nie widać — odpowiada na to życzliwy. — Gdybyś tego nie powiedziała, nie byłbym wcale zauważył...

Na wizycie masochistka siedzi zgnębiona, milcząca, wpatrzona jak hinduski jog we własny pępek.

— Co taka zamyślona?

— Ach, nie zauważyłam wychodząc z domu, że mam na sukni jakąś tłustą plamę! Pewnie z masła. Mój Boże! Nowa suknia, raz ją miałam na sobie i już plama...

— Wcale tego nie widać!

— Umyślnie tak mówisz, żeby mnie pocieszyć, ale ja wiem, że to rzuca się w oczy...

To samo dzieje się z krostką koło ucha, której by nikt nie zauważył, albo ze złamanym paznokciem. Prawie każda



rozmowa z każdą prawie spotkaną znajomą zaczyna się od słów: — „Popatrz, co mi się tu zrobiło”. Mówiąc to podnosi wysoko rękaw sukni i z bolesną dumą pokazuje ślad ugryzienia pchły lub rudej mrówki. Nie należy wówczas mówić, że to zwykłe ugryzienie, bo można zrobić sobie z niej wroga. Przeciwnie, powinno się okazać duże zainteresowanie i poradzić jej pójść do lekarza-specjalisty. Na siwe włosy też zawsze zwracają uwagę drugich bez względu na to, czy mają lat trzydzieści czy też pięćdziesiąt. Gdy mają lat pięćdziesiąt, są tym faktem jeszcze bardziej zdumione. — „Nie wiem, co mi się nagle stało, ale zaczynam siwieć zastraszająco, to wszystko z tych kłopotów” — mówi starka. Tylko dzikus

COŚ NIECOŚ O WIEKU

odpowie na to: — „Wiek, pani dobrodziejko, wiek...” Człowiek dobrze wychowany ma odpowiedzieć w ten sposób: — „A cóż to szkodzi, siwe włosy do młodej twarzy wyglądają bardzo korzystnie, ja mam na przykład kuzynkę, która osiwiiała mając lat trzydzieści”.

Nasze masochistki chwalą się również nie pytane i nie prośzone, dużymi dziećmi, które je swędzą i denerwują (mimo macierzyńskiej miłości) jak ukąszenie złośliwego owada. Dzieci te mogą być daleko, na obozach harcerskich lub w zakładach wychowawczych, ale gdy masochistka tylko poczuje, że się jakiemuś mężczyźnie spodobała, już zaczyna się nimi chwalić:

— Czy by pan uwierzył, że ja mam już dorosłe dzieci? Mój Zbyszek to mnie już przerasta, a Dydek sięga mi do ramienia... Tylko cham odpowie na to: — „W porządeczku, w porządeczku, łaskawa pani, bo i latka są już po temu. Ale mnie to nie przeszkadza, bo ja lubię starsze niewiasty”.

Masochistki uznają tylko sobie samej zadane zadrapy i zadziory, my wszyscy jesteśmy po to, ażeby pocałunkami i komplementami od razu owe drobne ranki leczyć.

— Nie lubię kobiet — rzekł raz pewien mężczyzna — bo mnie zmuszają do mówienia banałów...

Jeżeli masz tyle lat co wszyscy, to znaczy między 39 a 49, to lepiej w ogóle o latach nie wspominać. A gdy musisz podać datę twego urodzenia, nigdy nie zaokrąglaj, inaczej brzmi trzydzieści dziewięć niż czterdzieści i o wiele lepiej wygląda czterdzieści dziewięć od pięćdziesięciu. Tylko przed lekarzami nie rób cudów i gdy masz na przykład pięćdziesiąt kilka, nie mów mu o dziesięć lat mniej. Możesz sobie głupimi ambicjami zaszkodzić na zdrowiu!

Gdy chcesz uchodzić za „użo młodszą niż jesteś, gdy usłyszysz, że ktoś umarł w „wiośnie” sześćdziesiątej, nie wołaj: — „Och, biedna, w tak młodym wieku zmarła!” — tylko raczej zauważ, że mimo iż wiek był po temu, mogła sobie jeszcze trochę pożyć...

Poza tym tylko bardzo młode kobiety mogą kokietować wiekiem. — „Już jestem taka stara — mówią z uroczym dąsem — skończyłam dwadzieścia pięć lat. Mam już nawet dwa siwe włosy...”

Dużo kobiet po czterdziestce wzdycha: — „Boję się, że umrę młodo...” Tego stanowczo nie powinny robić, bo mogą się narazić na śmiech tych nieznośnych młodych smarkul, które tylko patrzą, jakby te wszystkie starsze damy wyśmiać.

Jeśli chcecie być długo młode, unikajcie w pierwszym rzędzie tak zwanych starych dobrych przyjaciół. Powiedzą ci oni w towarzystwie młodych ludzi na przykład tak: — „Ach, pani Zosiu, jak się w pani kochałem, kiedyś... pamięta pani? Występowała pani wówczas w cesarskiej operze w Warszawie jako chórzystka. Jaka pani była śliczna wtedy, istne

cacko... I ... — zwracając się do całej będącej z tobą kompanii — jaka to była biedulka, mieszkała gdzieś w oficynie na czwartym piętrze, na rogu Czerniakowskiej, a ja do niej przychodziłem jako ubogi student i, pamiętam, składaliśmy się razem na szklankę herbaty i dwa serdelki. A dzisiaj!... Tak, tak, wszystko się zmienia, tylko uszka zostały te same. Ale trzeba przyznać, że trzyma się pani wspaniale!...”

Bardzo niebezpieczne są te twoje rówieśniczki, te zacne i cnotliwe, które wyglądają na twoje ciotki, ale mówią o tobie i o sobie „my”, „w naszym wieku”, „kiedyś, dawno, jak ty i ja byliśmy młode”. A tu obok siedzi twój flircik, który w swojej młodzieńczej naiwności wierzył, że masz trzydzieści lat i że twój mąż zrobił ci dziecko, jakeście się razem bawili w piasku...

Otaczaj się zawsze młodszymi od siebie, nie ubieraj się w dawne, zasmucające swoim widokiem przyjaciółki, a jak się chcesz koniecznie w zupełności odmłodzić, to przezwij się w drugiej połowie twojego życia „Danusia” albo „Lalka”.

Widziałaś kiedy starą „Danusię” albo „Lalkę”? Bo ja nie...

WÓDZIA, WÓDECZKA, WÓDA

Z wódką zrobiło się ostatnio u nas coś zastraszającego, wszyscy piją. Pije Jakub, pije jego młody synek Kuba, pije siostra Kuby, pije ojciec Jakuba i jego stara matka. Publiczność w polskich miastach chodzi chwiejna, a mężczyźni czule prowadzą mężczyzn pod rękę lub — jak damę, na której im zależy — sadzają do dorożki. Nie ma już nagle ludzi chorych na wątrobę, nerki lub serce. Wszyscy są zdrowi, wszyscy mogą pić. Dla pań domu urządzających u siebie imieniny jest to bardzo nieekonomiczne. Przed wojną, gdy się urządziło u siebie przyjęcie, liczyło się zawsze na kilku przynajmniej gości niepijących. Mówiło się do męża tak:

— Zaprosimy Stasia, bo nie pije, jego żonę, bo też nie pije. Tomka, bo jest chory na wątrobę i Jadzię, która choruje na serce...

Dzisiaj piją wszyscy. Polak dzisiejszy pije: po szkodzie, po śledziu, po pomidorze, po kiełbasce i po dziecku. Pije także „pod” — a więc pod zwycięstwo, pod siebie, pod interes, pod panią, pod kanapkę i pod dziesiąty kieliszek...

Do picia znajdują wciąż bardzo ważne preteksty. Jeden ze znajomych pijaków nie wiedząc, jak się przed żoną wytłumaczyć ze swojego nietrzeźwego stanu rzekł, „iż przed Panem Jezusem przysięgał, że gdy mu się jeden interes uda, to się zaleje”.

Bardzo tajemniczą sprawą jest, dlaczego w jednym wypadku można wypić stawek alkoholu i nic — a w drugim, po kilku kieliszkach jest się gotowym? Eksperci w tej sprawie mówią dużo o gatunku alkoholu, o przegryzaniu, o tłuszczach, które w trakcie picia należy spożywać. A to wszystko nie-



prawda. Prawdą natomiast jest, że nie można pić w nieodpowiednim towarzystwie, bo wtedy się człowiek momentalnie zaleje.

Tak samo nie można zdrowo pić w domach, gdzie człowiekowi wódki żałują. Istota ludzka jest delikatniejsza i bardziej wrażliwa, niż sobie sama z tego zdaje sprawę, a już pod wpływem alkoholu staje się prawie mimozą...



Rada: pić tylko w dobrym towarzystwie tylko inteligentnych ludzi, nie pić przedostatniego kieliszka, zakrapiać czystocinę ziołowymi esencjami, przegryzać każdy kieliszek kanapką (o ile się oczywiście nie jest u siebie) — i pod żadnym warunkiem nie wychodzić za mąż za pijaka.

GODZINY SŁUŻBOWE PANI

Jest pewien odłam kobiecego społeczeństwa, który ma swoje „godziny służbowe” w ... kawiarni. Zawsze je w tych godzinach można tam zastać, czy deszcz leje, czy też słońce świeci. Siedzą odpowiednio do swojej pracy „stolikowej” ubrane i ... urzędują. Odsiadują te godziny tak poważnie i sumiennie, jak gdyby po miesiącu miały za to odebrać w kasie pieniądze. Ma się nawet nieraz wrażenie, że je to nudzi, ale muszą. Gdy zbliża się ich godzina urzędowania, zwykle około 12 w południe, okazują domownikom zdenerwowanie, dzieciom nakazują, ażeby mamusi nie przeszkadzały.

Gdy przypadkowo znajdzie je w tych godzinach jakaś znajoma lub interesantka, siedzą jak na szpilkach, odpowiadają suchymi, krótkimi zdaniami, wciąż spoglądając na zegarek.

Tato często pije kawę zbożową z sacharyną. Jasiowi i Małgosi wyłażą palce z sandałów, ale mama musi mieć pieniądze na swoje godziny służbowe w kawiarni. Każda z owych „urzędniczek”, gdy wchodzi do swojego „biura”, stara się zrobić efektowne wejście, każda chciałaby w oczach nielicznie zebranych „kolegów” ujrzeć zachwyt, a z ust znajomych usłyszeć coś w rodzaju arii z pewnej opery, zaczynającej się od słów: „O jakżeś piękna — anioła zwalczyłbym — twych wdzięków czarem!” Wyjścia ich po godzinach urzędowania są nie mniej efektowne. Płaszcz lub futro zawijają z wdziękiem modelki wokoło smukłej „kibici”, kołnierz z lisa wolno zapinają wysoko pod szyją, ażeby każdy widział jego puszystość.

Dla tych „urzędniczek”, których mężowie zanadto ciężko pracują, ażeby sobie mogły na codzienne „godziny służbo-

we” w kawiarni pozwolić, a które czują neodpartą potrzebę pokazywania się tłumom w szacie zimowej, wiosennej lub letniej, mam świetną radę: publiczne ogrody i skwery. Zaręczam wam, że zabawa jest pierwszorzędna i nic nie kosztuje. Jedna moja znajoma od wielu lat tak urzęduje i mówi, że od tego czasu wie zawsze, czego nie należy nosić, jakie suknie, sandały, psy są już obnoszone. A zatem idźmy za jej przykładem. Na skwerki!



JAK TO Z TYM PŁACENIEM?

Kobieta dopiero wtedy wie naprawdę, że mężczyzna ją kocha i pożąda, kiedy chce wszystko za nią płacić. Wie biedaczek, że to, iż ją kocha i pragnie posiadać, to jeszcze mało, że to za skromny dar z jego strony, więc postanawia w miarę swojego portfela i możliwości ozdobić to lodami, ciastkami, kawą lub wódeczką i zakąskami. Poza tym kto kocha — ten karmi, kobieta karmi dziecko, mężczyzna kobietę, czasem kobieta mężczyznę. Dziwna rzecz, jak miłość u ludzi idzie zawsze w parze z jedzeniem.

A teraz: czy dama („dama” jako odpowiednik żeński do dżentelmena) ma pozwolić na to, aby mężczyzna płacił za nią w kawiarni czy restauracji! Przed wojną „damy” uważały, że nie — teraz powinny uważać, że tak. Dlaczego? Zaraz to wyłuszczymy. Podczas wojny namnożyło się wielu nic nie robiących młodzieńców, których zawód polegał tylko na zawadzie miłosnym. Znajdowali sobie bogate a starszawe paniusie, które ich żywiły i poity. Słyszałam kiedyś o takim facecie, który przed wspólną wycieczką mówił rozkazującym tonem do swojej flamy: — „A proszę nie zapominać o bufecie”. W kawiarniach i restauracjach panie te przed i po zagryzce konferowały z kelnerem, a młodzian siedział z obojętną miną, niby że go te przyziemne sprawy nic nie obchodzą i spokojnie ćmił papierosa. Kobiety owe takim postępowaniem psuły tych młokosów, naruszając tym odwieczny porządek rzeczy istniejący w całej przyrodzie, że samiec karmi samiczkę a nie przeciwnie.

Przyjrzyjmy się tylko postępowaniu koguta, tego największego dżentelmena wśród ptaków, a przekonamy się o tym

HOTEL MARIOTT

RESTAURACJA - Disco - Bar.



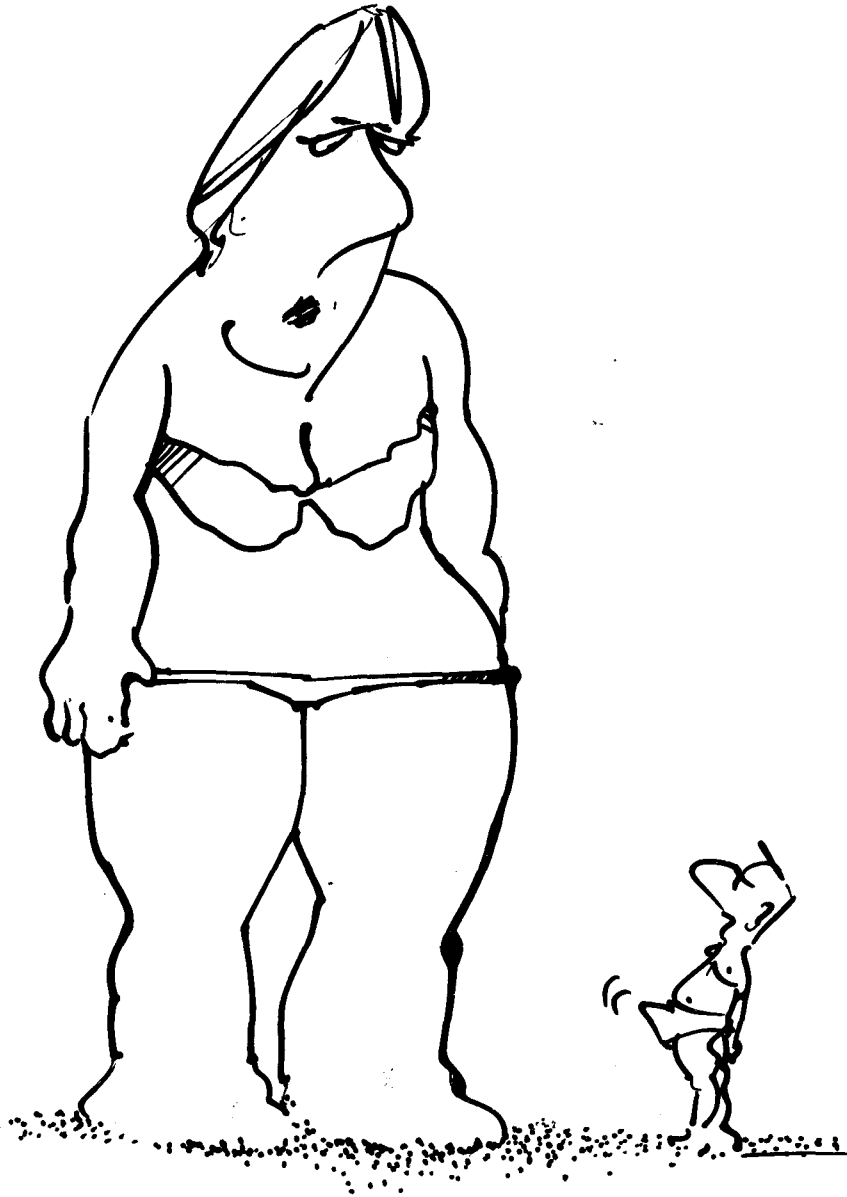
naocznie. Ów wspaniały rycerz z ostrogami wyszukuje dla swoich haremowych piękności żarcie, wskazuje, gdzie leżą rzucone im ziarna, a sam usuwa się na bok. Gdyby w przyrodzie istniał zwyczaj płacenia, na pewno poszedłby do kuchni i kupił od gospodyni jeszcze trochę pokarmu dla swoich kurek. Damy wyciągające w kawiarni gorączkowo torebkę, ażeby zapłacić za swoją kawę i ciastko w momencie, kiedy chce to zrobić mężczyzna, nasuwają mu niepotrzebną myśl o równouprawnieniu. Wprawdzie marzeniem współczesnego mężczyzny jest „umieć kobietę utrzymać za jej własne pieniądze”, ale myśmy nie powinny o tym wiedzieć.

Zresztą — dla tych, które pod tym względem nie lubią wyzyskiwać panów, jest świetna rada: dać się zaprosić do restauracji, ale nie wyszukiwać zbyt kosztownych potraw, zaręczyć, że ponad wszystko uwielbia się pierożki z serem lub kapustą, do tego wódeczka, owszem, ale tylko czysta. Karafeczka — owszem, ale najmniejsza. Przy płaceniu, owszem, pogrzebać w torebce, ale tylko po to, aby wyciągnąć z niej puderniczkę. Pamiętajmy poza tym, że asystuje wam kelner i może wasz towarzysz chętniej by się zgodził, abyśmy za siebie płaciły, gdyby się nie bał kompromitacji przed tymże kelnerem...

Jeżeli jesteście kobietami zarabiającymi nieźle i mamy własne mieszkanko, to zawsze możemy się naszemu rycerkiemu kogucikowi zrewanżować zaproszeniem go na kolacyjkę do siebie. Wprawdzie wtedy pokazałoby się, że wolimy stokroć kotleciska wieprzowe niż pierożki z kapustą, i wódkę gatunkową niż czyściochę, ale znowu nie można liczyć na aż tak wielką subtelność u naszego pana, ażeby o tym miał pamiętać...

KOBIETA NA PLAŻY

Zdawałoby się, że wśród istot ludzkich ubranych w stroje tak „pojedyncze” jak majteczki kąpielowe i opalacze zatracają się zupełnie różnice socjalne. Tymczasem jest wprost przeciwnie. Przenieśmy się na basen miejski i obserwujmy, ułożywszy się wygodnie na piasku: oto z wody wychodzą trzy gracje „demogracje” (jak powiedziałby ktoś nader dowcipny). Jedna młoda, smukła jak chłopak, ma na głowie czepek gumowy, bezpretensjonalny. Małe piersi siedzą w gniazdkach tak zwanego opalacza i są równie przyzwoite jak jej kolana. To na pewno sportowe dziewczę, może w cywilu słuchaczka uniwersytetu. Przyszła tutaj, ażeby się wyżywić. Druga, z utlenionym czubem na głowie (każdy dudek ma swój czubek), idzie na palcach, ażeby się wydać wyższą, w końcu — rozglądając się wokoło — kładzie się obok młodego opalonego piernika. To też „słuchaczka”, ale kawiarnianej muzyki i kawiarnianych plotek. Trzecia: ach, znamy ją dobrze, widzujemy ją wszędzie, tę obfitą sytą postać. Wygląda jak chodząca reklama francuskich pneumatyków firmy „Michelin”. Posiada wszystko: kilka kamienic i parę ciężarówek i kilka srebrnych lisów (widzieliśmy ją w tych lisach zimą na Kasprowym). Chętnie by je i teraz zarzuciła na ramiona, ale wie już od swojej kulturalniejszej koleżanki, że to podobno nie wypada. Posiada wszystko z wyjątkiem takiego małego drobiazgu jak... kultura. Widać to wyraźnie po gatunku kostiumu kąpielowego, który do swojej obfitej postaci dobrała. Oczywiście ma na sobie, tak jak te młode i zgrabne, tylko krótkie spodenki i opalacz.



Spójrzmy dalej — niedaleko nas leży smutna postać, ciało ma, jak to dawniej pisali poeci „liliowe”, a na nim fioletowe żyłki. To na pewno żona skromnego urzędnika, która przyszła tu tylko i jedynie dla swoich dzieci. I rzeczywiście. Już po chwili zrywa się i porywając swoje worki i koszycki, zdąża w stronę basenu dla dzieci. Przemocą wydobywa z wody chlapiącego się smarkacza i zaczyna do niego przemawiać macierzystą gwarą, tylko dla nich obojga zrozumiała:

— Niu, niu, niu — grozi mu palcem pod nosem. — Ne, ne, ne — gdy smarkacz chce zamiast bułki ze zjełczałym na słońcu masłem zjeść czereśnię. — Be, be, be — woła, gdy bęben pragnie znów/z powrotem wleźć do wody.

A ta dystyngowana dama, która położyła się obok nas, to już na pewno hrabina. Poznajemy to łatwo po kilku drobnych szczegółach. Kostium ma staroświecki, tylko z tyłu wycięty, bardzo przyzwoity, koniecznie granatowy, uczesana jest z wałkiem dokoła głowy. Włosy ma naturalnego koloru, troszkę siwizną posrebrzone. Jest młoda, ale jej to wszystko jedno, czy na to wygląda, czy nie. Ciało ma białawe w różowe kropki, co ją też mało wzrusza. Teraz przysiadł się do niej jakiś smętny pan w rozciągniętych spodenkach. Zaczynają oboje rozmawiać po francusku. Nie pomyliliśmy się — hrabina!

A jaka nauczka z tych naszych spostrzeżeń? Tylko ta, że nie ukryjesz, nie zamaskujesz siebie nawet w wodzie, twój wiek, przynależność klasowa, stopień kultury w słońcu i wodzie występuje jeszcze wyraźniej niż na ulicy. A zatem uwaga!

ZOBOJĘTNIE

W dobrych małżeństwach, czyli takich, które nie mają zamiaru się ze sobą rozwieść, następuje zwykle ze strony mężczyzny zobojętnienie. Zaczyna spoglądać na własną żonę jak na własną nogę, to znaczy, że ani się nią nie zachwyca, ani jej się nie dziwi, ani jej nie spostrzega. Ot noga — jak noga.

Oczywiście, że kocha ją właśnie tak jak własną nogę; życie bez niej byłoby dla niego nie do pomyślenia, ale cieszyć się nią specjalnie nie widzi powodu. Zaczyna dopiero bać się o nią i cenić, kiedy noga zaczyna, jak to mówią, „nawalać”.

Człowiek, który złamał albo zwichnął nogę i musi leżeć nieruchomo, czuje się mniej więcej tak jak zżyty i przyzwyczajony do swojej żony mąż, któremu ta żona nagle ucieknie z kimś innym. Wyrzuca wówczas sobie, że „nie uważał”, że nie był dość ostrożny itd.

A wszystkimu winne zobojętnienie.

Człowiek do niczego się tak łatwo nie przyzwyczaja, jak do komfortu. Po prostu po pewnym czasie nie czuje go już i wydaje mu się całkiem naturalne, że go posiada.

A żona to wielki komfort. To coś tak jak własna łazienka gazowa w mieszkaniu. Chcesz wstać rano o piątej — zacna kobieta budzi cię o tejże godzinie, zupełnie jak zmarła dusza, do której się pomodliłeś. Nie tylko obudzi, ale jeszcze robi śniadanie, i to wszystko z taką pogodną twarzą, jakby to była rzecz całkiem naturalna.

Gdy mężowi coś brakuje, stoi o nakazanej przez lekarza godzinie z lekarstwem i pilnuje, żeby zażył. Wyprasuje koszulę, zaceruje dziurę... A wszystko za to nazwisko, jakże



czasem skromnie brzmiące, które jej z dumą ofiarował, za tytuł „żony”, który (jako że im inne tytuły rzadko przypadają w udziale) bardzo sobie kobiety cenią.

A teraz — jak robić, ażeby owemu zobojętnieniu ze strony męża zapobiec albo dalszy jego rozwój wstrzymać?

Sposobów jest wiele. Najprostszy, to nagle, wieczorem, ubrać się efektownie tylko dla niego (może być nowy, z najtańszego materiału, szlafrok, byle długi do ziemi, bo to zawsze

nadaje kobiecie coś z filmowego wampa) i bez uprzedniego przygotowania przyjąć go jak gościa, witaminą dla mężczyzn: wódką i kiełbasą. Nawet gdybyście się poprzednio boczyli na siebie przez kilka dni, efekt jest niezawodny. Będzie mu się zdawało już po kilku kieliszkach, że został zaproszony do mieszkania bogatej, demonicznej rozwódki i na pewno nie omieszka zacząć cię uwodzić jak jakąś obcą panią. Podczas owej miłej „zagrychy” we dwoje, można tak jak właśnie demoniczne rozwódki robią, zacząć opowiadać o sobie nie-stworzone historyjki, o tym, jakie to się ma u mężczyzn powodzenie — „tylko cóż, człowiek taki głupi, wciąż nie wiadomo dlaczego trzyma się jednego”.

Można też opowiedzieć, że „o mało nie zostało się przejechaną przez auto na skrzyżowaniu ulic, bo głupi szofer tak się na mnie zagapił...” Radość z powodu cudownego ocalenia żony i duma posiadania na własność istoty, za którą się każdy na ulicy ogląda oraz nastrój i wódeczka, okażą się okolicznością sprzyjającą do jak najczulszego zakończenia owego wieczoru.

JEJ PIESEK

Przed nami w parku miejskim idzie korpulentna dama otoczona platynowym lisem, na smyczy prowadzi przed sobą rasowego kudłatego pieska z mordką owcy. Zatrzymujemy damę i pytamy się uprzejmie:

— Czy to pani ten cudny piesek?

— Oczywiście, że mój...

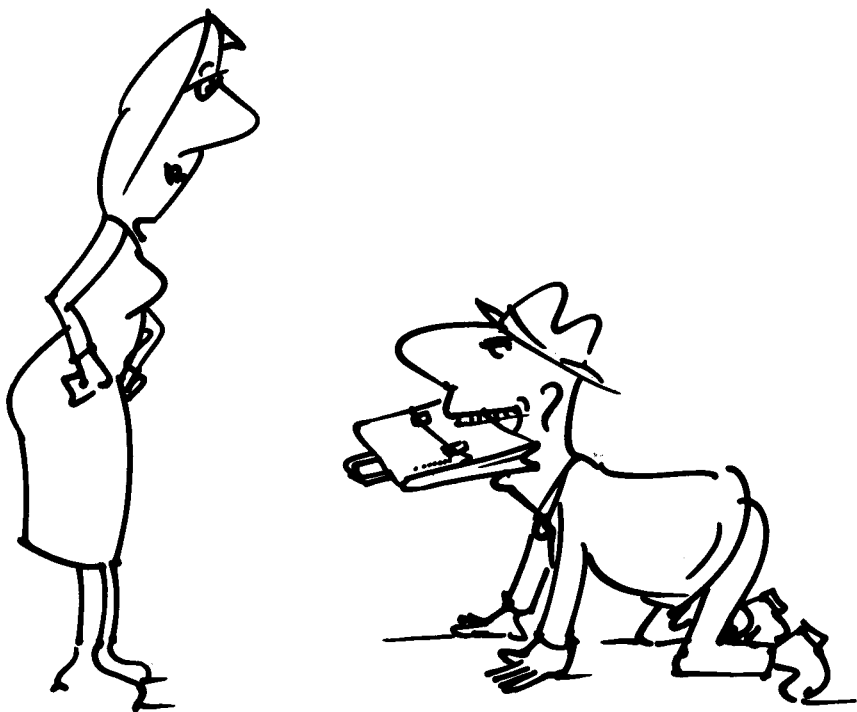
— A jakiej ten pies jest rasy, jeśli wolno wiedzieć?

— To jest ajdamer, szkocki pies. Ma swoją własną „kenn-kartę”, na której ma wpisane imiona rodziców. Zapłaciłam za niego pięćset złotych, gdy jeszcze był szczeniakiem.

— Dziękuję. To mi najzupełniej wystarczy. Teraz wywróżę łaskawej pani z tego psa przeszłość pani i teraźniejszość — przyszłości jakoś nie widzę. Otóż pochodzi pani ze sfery drobniomieszkańskiej.

— Ależ proszę pani! Co za bezczelność!

— Proszę nie przerywać. Dorobiła się pani przez wojnę, potem dorobiła pani do wojennego dorobku jeszcze szaberek powojenny i kupiła sobie pani za litr wódki, we Wrocławiu, ponemieckiego psa, którego rasy nie może pani spamiętać, ponieważ poza słowem „kupiec en gros” nie zna pani ani jednego cudzoziemskiego wyrazu. Pieska swojego kocha pani nie za jego czarowną mordkę, ani za to, że ma takie cudne wymowne oczy, ale dlatego, że panią ozdabia i zastępuje jej z powodzeniem drugiego platynowego lisa, i że przyjemnie jest się z nim pokazać na ulicy. Przez niego i na panią zwracają ludzie uwagę, bo gdyby nie on, nikt by na panią nawet nie spojrział. Przepraszam. Do widzenia. Moje uszanowanie!



Idziemy dalej: obok nas przechodzi szybkim krokiem młoda, ale lekko zgarbiona osóbką, skromnie i byle jak ubrana. Przed nią na wysokich muszycach, cieniotkich łapkach bieży mały ratlerek z oczami żaby. Zatrzymujemy ją i zaczynamy rozmowę:

— Czy pani pozwoli, że jej wywrózę z tego pieska jej przyszość?

— Proszę bardzo — odpowiada lekko zdziwiona.

— Otóż, zostanie pani bezwarunkowo starą panną. Odkąd psy psami nigdy jeszcze ratlerek nie należał do nikogo innego, jak do starych panien, wdów i sierot — taka już jego właściwość. Poza tym człowiek z jakim takim smakiem nie może posiadać takiej parodii psa. Przepraszam. Do widzenia. Moje uszanowanie!

Znów idziemy dalej. Naprzeciw nas idzie elegancka starsza dama, na smyczy ciągnie okropnego nierasowego foksteriera z olbrzymim brzuszyskiem. I znów mamy bezczelność ją zatrzymać.

— Przepraszam bardzo. Zaciekała mnie pani suczka, taka stara a widzę, że będzie miała młode.

— Ach — mówi ze zniechęceniem w głosie dama — to wcale nie suczka tylko pies, ma biedny nowotwora i dlatego mu tak brzuch rośnie. Biedne, biedne pisko.

Tej damie możemy powiedzieć tak:

— „Cały pani nadzwyczajny charakter widzimy na tym piesku jak na dłoni. Jest pani osobą o niezwykle dobrym sercu. Poza tym ma pani odwagę cywilną pokazywania się wśród ludzi z takim brzydactwem tylko dlatego, że się pani do niego przywiązała. Pani postępowanie wobec tego psa, który nadaje się tylko do uśpienia, godzi mnie poniekąd z rodzajem ludzkim. Przepraszam. Do widzenia. Moje uszanowanie!”

NIE POSYLAĆ CHŁOPCA...

Czasy są ciężkie, drogie, myśli nasze również nielekkie. Każda z nas ma myśli małe: maślane, mleczne, kaszane, czasem mięsne. Kalkulujemy, liczymy. Gazetę poranną czytamy tylko po to, żeby się dowiedzieć, gdzie co można kupić.

Jesteśmy oszczędne, więc nie kupujemy na kila, ale na deka, lecz czasem robimy zasadniczy błąd kalkulacyjny, gdy (nieraz z lenistwa) wysyłamy po sprawunki naszego męża lub narzeczonego. Mężczyzna nie nauczył się jeszcze tej drobniawości, tych oszczędzałek na wszystkim. Posiada jeszcze odrobinę tak zwanego gestu. Mówimy na przykład do niego w ten sposób:

— Mój złoty, czy chcesz mnie wyręczyć (określenie, którego używa się również jeśli chodzi o pobiegnięcie tam lub ówdzie, a które pochodzi jeszcze z czasów kiedyśmy byli małpami) i pobiec do sklepiku? Przyniesiesz mi stamtąd tak: ćwierć kilo cukru, dziesięć deka kiełbasy, pół bochenka żytniego chleba i dwa deka herbaty.

Można przysiąc, że mąż wówczas przyniesie: 5 kilo cukru, kilo kiełbasy, herbaty nie przyniesie wcale, bo będzie się wstydił kupić 2 deko i dwukilowy bochenek chleba.

Rada: nigdy, nawet gdy okoliczności zmuszą nas do tego, nie wysyłać męża po sprawunki. Od tego są dzieci. Zauważmy tylko, co taki bachor jest w stanie kupić za „jedne” dwadzieścia złotych, które mu w momencie czułościowego za-

łamania ofiarujemy na jego drobne wydatki. Taki i umie wybierać najtańsze sklepy i daleko lepiej potrafi kalkulować od starych chłopców.

Tylko dzieci posyłać na kupno!

SNOBKA

Zazdroszczę ci! — Jakaś ty szczęśliwa! Gdy wymawiasz słowo „hrabina” oblizujesz się, gdy wypowiadasz „księżno” do księżnej — dostajesz dreszczyku. Chciałabym być tobą, ale niestety. Nie każdy rodzi się snobem, jest to specjalny dar boski. O drobnych radościach, które z tego powodu przypadają ci w udziale, nie wiedzą ci, co nie posiadają w sobie ani krzty snobizmu. Idziesz na przykład ulicą, znajoma hrabina zaczepia cię, bo ma jakieś z tobą charytatywne siuchy. Oczywiście wyzyskuje cię odpowiednio, grając na twoim nieszkodliwym nałogu:

— Załatwi mi pani, to, tamto, weźmie pani bilety na nasz dobroczynny wieczór do rozsprzedaży — rozkazuje utytułowana.

— Ależ oczywiście, z rozkoszą, pani hrabino — krzyczysz głośno, żeby przechodnie usłyszeli i zauważyli, jakie ty masz znajomości. Wracasz do domu w doskonałym humorze, pogodna i spokojna jak po udanym seansie miłosnym.

Gdy ktoś, kto nie jest snobem, straci kogoś ze swoich najbliższych, nic pocieszyć go nie zdoła. Ale ty, moja miła snobeczko i w tych czarnych momentach znajdziesz pociechę, którą ci dadzą telegramy od twoich znajomych z „high-life’u” i wizyty kondolencyjne hrabin, które z wyrokami boskimi, kościołem i obrządkami pogrzebowymi są za pan brat.

Życie twoje to pasmo nieustannych drobnych radości. Kupiłaś sobie od znajomego, który pojechał na Zachód, mnóstwo starych portretów bez żadnej artystycznej wartości, ale cóż z tego, że malował je jakiś stary pacykarz, skoro dają ci one



kupę radości. Goście się schodzą, wcinają kluski z pomidorami, pytają o pochodzenie owych starych portretów, a ty, mimo że wśród zaproszonych znajduje się i typ, który ci owe kicz sprzedął, mówisz: — „To babka Mężyńska — to prababcia Stadnicka — to też moja babka, z domu Odrowąż — a to dziadek Skiergieńło”.

Masz kucharkę, która poprzednio służyła u hrabiów. Dla innych kobiet nie przedstawia to specjalnej atrakcji, ale dla ciebie ogromną. Zamiast do kawiarni, na plotki chodzisz do własnej kuchni i godzinami słuchasz opowiadań kuchy, co „Oni” jedli, kogo przyjmowali, jak to pani hrabina, sama

podczas wojny jeździła wozem po jarzyny do majątku... Kuchcia paskudnie gotuje, mało co umie, ale cóż to za drobiazg wobec tego, że służyła w takim domu jak „ICH”.

Jesteś zawsze w dobrym humorze i twój mąż byłby najszczęśliwszym z mężów, gdyby nie małe dwa drobiazgi: pierwszy to ten, że się wciąż musi za ciebie moralnie rumienić, drugi drobiazg, że go w końcu na pewno zdradzisz ze starym księciem.

Gdy jesteś istotą lubiącą wzbijać się coraz bardziej w górę i kroczyć drogą ewolucji, ludzie o tytułach rodowych, z którymi się już zupełnie zżyłaś i nawet z niektórymi jesteś na „ty”, przestają zadowalać twój snobizm żądny coraz to nowszych wrażeń. Ale od czego jest Anglia. Wyrafinowane snobki przerzucają się na snobizm na tle Wielkiej Brytanii. Uczą się więc na gwałt po angielsku, co się zresztą zawsze może przydać. Żeby być bardziej angielskimi od Angielek, wymawiają na przykład nazwisko „Waston”... „Dżaston”, przykładając język do warg, a nazwę znanego amerykańskiego zakładu wychowawczego dla panien „Watar College” wymawiają „uoter koledź”.

Jedna z takich snobek na Anglię (fakt autentyczny) będąc w Londynie przed wojną, kazała sobie zrobić transfuzję krwi, żeby w jej żyłach płynęła krew angielska.

Poza tym, zazdroszcząc ci twojej nieszkodliwej pasji, radzę ci zachować w twoim snobizmie pewien umiar, nie tak jak pewna właścicielka sklepu ze starożytnościami, która chwaliła się w ten sposób: — „Ten dywan, proszę pani, oglądali już u mnie hrabia Zamoyski, baron Brunicki i szlachcic Korytko”!

KIEDY KOBIETA JEST NAJSZCZĘŚLIWSZA

Myślicie może, że wówczas, kiedy spoczywa w ramionach najdroższego? A może wówczas, kiedy drugiej kobiecie odbije amanta czy męża? Wtedy może, kiedy się ładnie ubierze i czuje się piękną?

O nie, bo wówczas zawsze się i tak znajdzie piękniejsza i lepiej od niej ubrana i zatruje jej tę chwilę wielkiego szczęścia.

Otóż kobieta jest naprawdę szczęśliwa w dwóch wypadkach: wtedy, kiedy może zjeść pierwsze śniadanie w łóżku ubrana w ładną koszulkę z koroneczkami, a ktoś z domowników przyniesie jej na tacy kawę z bułeczkami. Jeżeli do tego może sobie pozwolić na szynkę, jest już prawie u szczytu swoich marzeń. Czuje się, szczególnie gdy sobie zawiąże na głowie kolorową wstążkę, co najmniej panią de Pompadour.

Druga rzecz, która każdą kobietę wprawia w ekstazę szczęścia, to gdy z drugą kobietą znajduje się na jakimś targu, ma pieniądze i kupuje. O szczęściu kupowania zazwyczaj niepotrzebnych drobiazgów za tanie pieniądze nie wiedzą biedni, upośledzeni mężczyźni, którzy w tym sporcie czysto kobiecym nie znajdują żadnego smaku. — „W rzeczach siedzi tężyzna i zdrowie” — powiedziała jedna bardzo mądra pisarka i miała wielką rację. Ileż razy miłosa rana sercowa zasklepiła się szybko pod plastrem nowej, dobrze leżącej sukni.

Na takim targowym placu, wszystko jedno czy to jest Maroko, Bytom lub Kraków, najmądrzejsza kobieta, najbardziej „kobieta-człowiek” przemienia się nagle w sroka



w Murzynkę, która z błyszczącymi oczyma rzuca się na tan-
detne paciorki lub drukowane perkaliki, najpierw się targuje
(choć cena ich jest bardzo niska, ale to należy do owego
gatunku sportu), a potem kupuje, załadowuje do ręcznego
worka i jest najzupełniej szczęśliwa. Znałam jednego bardzo
roztropnego męża, który swojej starej, przeczacnej żonie dawał
co dzień trzydzieści złotych, ażeby z Juraty do Jastarni jeździ-
ła sobie autobusem na zakupy. Mama ta przywoziła do dom-
ku mnóstwo niepotrzebnych „zawalidróg”, garnczków, fili-
żanek, talerzyków, i była później przez cały dzień tak pro-
mienna, że już na żadne wybryki męża i dzieci nie zwracała
najmniejszej uwagi.

Jeśli więc która z was ma jakieś zmartwienie albo jest
z natury melancholijnego usposobienia, dajcie z torbą na
plac targowy. Złociszki, które tam czasem nawet niepotrzeb-
nie wydacie, są niczym wobec dobrego humoru, który dla
domowników waszych jest najcenniejszym skarbem.

ŁAZIENKA

Dumą i chlubą każdego Anglika jest jego łazienka. Z prawdziwą satysfakcją, jakby przedstawiał własną piękną i elegancką żonę, pokazuje gościowi swój *bath-room*. A jego pierwsze słowa, gdy gość przybył z jakiejś podróży są: — Może pan chciałby ręce umyć? W jego łazience wiszą na wieszakach czyste, aczkolwiek włochate ręczniki, leżą pachnące lawendą mydła toaletowe, radują oczy kolorowe sole do kąpieli, a duża flacha wody kolońskiej oznajmia gościowi swoim widokiem, że jest na jego usługi. To samo można zauważyć w krajach skandynawskich, a również we Francji niesłusznie przez nas okrzyczanej za brudną.

U nas inaczej... inaczej... inaczej.

W znajomych łazienkach dzieją się czasem dziwne rzeczy. Piecyk gazowy oczywiście nie funkcjonuje, na wieszakach wiszą: brudny płaszcz kąpielowy pana domu, obszarpany, przydeptany szlafrok pani domu, jakiś nieprzyzwoity przedmiot ablucyjny zarośnięty pajęczyną i kilka przetartych ręczników, przeczących nazwie „bielizna”. Na półce leży gąbka, która przypomina raczej dno nędzy niż dno morskie i mnóstwo pustych nieapetycznych flaszeczek i słoików od kremów. Leży również i spogląda melancholijnie wyschnięta pasta do zębów i przez ząb czasu zjedzona szczoteczka do tychże. Bezwstydni państwo domu zamiast skłamać, że w ogóle łazienki nie mają, z pobłażliwym uśmiechem (pobłażliwym dla nich samych) wprowadzają tam gościa, który właśnie wrócił z podróży czy wycieczki i chce sobie ręce umyć. Strumień lodowatej wody spływa na jego zmarznięte palce, oczywiście rozgląda się za mydłem.



— Mydło! — woła zaalarmowana pani domu. — Gdzie może być mydło? — Jasiu, czy nie widziałeś gdzie tego okrągłego, różowego mydła? Ach mój Boże, pewnie je ktoś wziął do mycia...

Po długich a bezowocnych szukaniach mydło znajduje się wreszcie, sama pani domu zamknęła je przed mężem i dziećmi do szkatułki z kosztownościami.

— Poszedł ręce umyć, widocznie chce ci się przypodobać — to zdanie wpisane było maszynowym drukiem w rękopisie sztuki teatralnej pewnego młodego autora i obrazuje czystość naszą.

Panie domu! Od jutra zróbcie czystkę w waszych łazienkach, zaczynając od naprawy piecyka gazowego. Wyszorujcie wannę proszkiem. Wyrzucicie wszystkie niepotrzebne

słoiki i flaszeczki, a również nieżywe muchy z okna i resztki zeszłego roku rozbitych szyb. Ręczniki dajcie do prania, mydło połóżcie na miseczce, bo nigdy nie wiadomo, czy jakiś wasz krewny nie zjedzie do was z Anglii lub Ameryki i nie zechce sobie w waszej łazience rąk umyć... bo rozumiem, że dla was samych to przecież nie warto.

CZY PROWADZISZ PENSJONAT?

Nie chodzi nam w tym wypadku o nauczycielkę, która idzie ulicą i prowadzi za sobą ciąg podfruwajek w berecikach, ale o prowadzenie pensjonatu dla dorosłych w Rabce, Zakopanem, Szczawnicy lub Jeleniej Górze. Jeśli tak właśnie ci się przydarzyło, to zanim taki pensjonat otworzysz, przyjrzyj się dobrze pensjonatowi, właścicielkom i albo bierz z nich przykład i wówczas zarobisz i będziesz sobie mogła w zimie kupić futro selskinowe z kołnierzem z lisa, albo bierz z nich przykładu i wówczas będziesz w dalszym ciągu chodziła w swoich starych suczkach, za którymi psy gonią. Pierwszy przykład jest o wiele praktyczniejszy. Przypuśćmy, że jesteś zrujnowaną arystokratką, która kiedyś miała własne dobra ziemskie, wówczas witasz gości najczystszą francuszczyzną, rulując odpowiednio literę „r”. Jeżeli gość mówi po francusku, jest mile dotknięty, że od razu znalazł się „w swoim towarzystwie” i zaczyna mleć tymże językiem. Pierwsze lody zostały już przełamane, więc możesz dać na deser kisielek żurawinowy ze smakiem borowinowym. Kotlecik z suszonego mięsa mielonego dorsza na smaku łojotokowym zbliży cię już drobnym kroczeniem do upragnionego futra. Grunt — oszczędność na kuchni... i jęczeć: jak to dawniej, jak to w Paryżu... jak to w dobrach własnych bywało. Pewnie, kucharz Kalasanty nie byłby zniósł takiej kuchni, taką suszoną mieloną rybkę byłby nie rzucił nawet dworskiemu kotu, ale dzisiaj... państwo rozumieją... *par les temps qui courent...**

* (fr.) dosł. w czasach, które płyną (mijają), w dzisiejszych czasach.



Mój Boże! przecież się nic nie zarabia, przecież się tylko dokładają... Gość jest tak wzruszony, że świadczy się kułakiem wymierzonym we własną pierś, iż rybka była świetna, a kisielek — szkoda gadać. Co chwila wpadasz do pokoju gościa i pytasz, czy czego nie potrzebuje?... Nie daj mu bezwarunkowo przyjść do słowa, bo a nuż jeszcze czegoś zażąda. Mów sama twoim miłym, łagodnym, arystokratycznym głosem, jak to „drzewiej” bywało — a jak jest teraz. I przepraszać, bo kto przeprasza, ten drugiemu wytrąca broń z ręki. Mówisz więc tak: — „Ja państwa bardzo przepraszam... *je vous demande milles fois pardon*,* że kolacja była zimna, ale państwo przyszli późno, a maszynka elektryczna „nie działa” (oczywiście „nie działa” na tak zwaną elektrykę, elektryka jest w stosunku do maszynki obojętna i zimna — jest na to sposób, dość nawet szeroko praktykowany: dać maszynkę do naprawy, ale to znów wymaga kosztów, a tych starajmy się unikać). — „O mój Boże! — zawołasz na widok rozmamłanych łóżek — służąca nie sprzątała dotychczas pokoju, ach, z tą dzisiejszą służbą... swoją drogą, ona jest zapracowana, państwo naprawdę wybaczą...”

Jeżeli masz do czynienia z ludźmi dobrze wychowanymi, a przeważnie tacy zjeżdżają do mniejszych pensjonatów, to odpowiedzą ci, w dziewięćdziesięciu procentach na sto: — „Ależ, proszę pani, głupstwo, możemy sobie przecież taki mały pokój sami sprzątnąć” — i jeżeli chcą się dociągnąć do twojego towarzyskiego poziomu, to jeszcze dodadzą: — „Ach, czegoż teraz człowiek sam nie robi” — za co im podziękujesz tym twoim zniewalającym uśmiechem z epoki króla Stasia.

Pamiętaj wciąż o futrze. Żadnych wkładów, żadnych naprawianych zepsutych kurków, liczy na to, że połowa Polaków świetnie obywa się bez mycia... — „Zresztą mamy tu obok potok...” Nie zapomnij o papierze — od czego są przeczytane gazety, należy zawsze łączyć praktyczne z kulturalnym.

* (fr.) po tysiąckroć państwa przepraszam.

Gdy gość znajdzie pluskwę w łóżku, możesz wówczas zmienić z lekka przymilny ton i powiedzieć, tak jak pewna pensjonatowa dama w Jastarni przed wojną: — „To ciekawe... to bardzo ciekawe... nim państwo przyjechali tutaj, nie było w domu ani jednej pluskwy...”

TAJEMNICA ZDROWIA

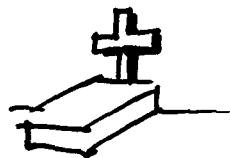
Klarcia, moja dobra znajoma, nic nie robi, bo ma ciężarówkę z szoferem, która — poczciwa — za nią haruje. Leczy się, pielęgnuje z troskliwością matki — i wciąż mówi, że „jest do niczego”. — „Tu, tu, tu! — mówi wskazując z omdlewającą miną bolące miejsca. — No i jeszcze tu mnie boli. Nie wiesz, co to jest?”

Ja wiem, co to jest, Klarcu — ale ci nie powiem. To lenistwo i nieróbstwo.

Twoja gosposia ma sześćdziesiąt lat, to znaczy o dwadzieścia lat więcej od ciebie, i spójrz jaka rześka i zdrowa. Pożyj trochę tak jak ona, a zobaczysz wkrótce rezultat. Gosposia Klarcu wstaje z pierwszym wrzaskiem radia, to znaczy o godzinie szóstej i pół, i truchcikiem, ubrana w kostium „pani starszej” (matki Klarcu), biegnie do kościoła. Tego oczywiście nie mogłabyś zrobić, bo na to musiałabyś być istotą tak uduchowioną i prawie bez ciała jak twoja gosposia.

Nie jest zresztą szkodliwy dla zdrowia taki ranny spacer. Znałam pewnego starszego pana, który pił wodą marienbadzką i też na czczo o siódmej biegał na spacer, żył on do siedemdziesięciu kilku lat w najlepszym zdrowiu.

Ale jedźmy dalej: gosposia wraca do domu i znów drugi raz leci do pobliskich sklepików po bułki i maselko do pierwszego śniadania dla ciebie. Ty zaś leżysz, glisto biała, i pukasz się w czoło, bo to ma jakoby dobrze robić na tworzące się zmarszczki. Opukujesz przywiedlę nieco twarzyczkę palcami wysmarowanymi kremem, ale ci to nic jakoś na wygląd nie pomaga. Gosposia przez ten czas przygotowuje ci kąpiel. W końcu zwlekasz się z twojego łóżeczka boleści, kładziesz



na siebie szlafroczek i pijesz śniadanie. Gospośia już wyszła z łazienki i zaczyna sprzątać z dziką energią twoje dwa pokoje. Jest ciągle w doskonałym humorze, opowiada ci różne ploteczki, co się dzieje u sąsiadów i fruwa po pokojach ze szcztotką. Nie wiadomo, czy zjadła już śniadanie, chyba nie.

Sprzątnąwszy pokoje, zwraca się do ciebie z prośbą, ażebyś jej dała pieniądze na zakupy. Z miną ofiary, którą jesteś, wyciągasz z szufladki pieniądze i dajesz jej. Ona leci znów truchcikiem do miasta, a ty idziesz do łazienki, wciąż czując się słabą i dziwnie fizycznie biedną. Gospośia nigdy nie choruje, czasem miewa grypę i mając gorączkę, biega po dworze, bo, jak powiada, „wybiega chorobę”. Bardzo często chodzi obwiązana. Ma zapalenie okostnej i, cierpiąc jak potępieniec, szoruje kuchnię. — „Przecież ktoś to musi zrobić!” — powiada. Od czasu do czasu zatnie się i palec jej paskudnie obiera. Gdy tobie się coś takiego przytrafi, to najpierw skarzysz się wszystkim znajomym, a potem idziesz do lekarza, który ci to przecina. Jesteś ciężko chora i nieszczęśliwa przez tydzień przynajmniej. Gospośia przykłada na chory palec zakurzoną „babkę”, zerwaną w jakimś ogródku, palec obiera, puchnie, gospośia ma gorączkę. I nagle, nie wiadomo co jej poradziła jakaś sąsiadka, palec prawie wygojony. Należy zaznaczyć, że przez cały czas nie ustawała w robocie, tylko talerze myła córka jej znajomej.

Spróbuj, Klarcu, przez jeden dzień pożyć tak jak ona, biegaj boso po domu, przy dźwiękach radia froteruj posadzkę. Na czczo pobiegnij, kochanie, po butki do sklepiku. Pościeraj wszystkie kurze, zobaczysz, jakie to zabawne. Jeszcze jedno krzesło wyciągnie do ciebie ramiona. — „O mnie zapomniałaś”. Biurko westchnie: — „U mnie w środku straszny nieporządek, zrób mi, proszę, małe „przczyszczenie”.

Nie sztuka zrobić to, gdy się musi, ale sztuka robić, gdy się nie musi. Dla tężyzny, dla zdrowia. Życie to ruch, to praca i właśnie koniecznie fizyczna.

Inaczej — ach, inaczej, Klarcu — stara, przepracowana gospośia przeżyje cię na pewno.

PRZEZ WRÓŻKI ZAKŁĘTE

Są kobiety, które robią wszystko, ażeby u nich wszystko było dociągnięte, żeby były dobrze ubrane, szykowne, mają nawet na tym tle wygórowane ambicje — a nigdy nimi nie są. Prześladowuje je pod tym względem jakieś nieubłagane fatum. Zrobią sobie trwałą ondulację — to mają skręconego karakuła na głowie, nie robią ondulacji — beznadziejne strączki wiszą im na karku. Kupiły sobie drogi kapelusz (model), okazuje się, że był to model typu „Przeminęło z wiatrem”, bo ledwo go pierwszy raz na głowę włożyły, kapelusik fr! Leci, toczy się jak koło samochodowe, a nieszczęsna biegnie za nim. Kapelusik przytrzymuje w końcu jakiś litościwy przechodzień nogą. Ale co z niego zostało! Brudny, oblepiony błotem, litość bierze patrzeć. Idzie więc dalej, z tak zwaną (nieprzyzwoicie) „gołą” głową, włosy fruują wokół jej zasmuconych policzków. Spotyka ją, naturalnie, przyjaciółka:

— Och, — woła — jak ty wyglądasz! Czemu nie pójdziesz do fryzjera.

Kupiła sobie, biedna, śliczny parasol, cała jej miesięczna pensja poszła na to. Parasol, wiadomo, służy od deszczu. Ale nie od wiatru. Zrywa się wichura, parasol wywraca się na odwrót, w jednym miejscu przerywa się, pęka i już po parasoliku.

Sprawiła sobie eleganckie drewniaki, ale po dwóch dniach obcas pęka przez pół, stare buty dała do szewca, więc musi z popękany obcasem pokazywać się wśród ludzi...

— Co to za nieporządna istota — mówią o niej ludzie — zawsze ma na sobie coś oberwanego, a zdaje jej się, że jest elegancką kobietą.



U jej dużej, skórzanej torebki stale psuje się błyskawiczny zamek. Ledwo wsadzi do niej kilka paczek, już trach! i zamek się psuje, wnętrzości wylatują, przechodnie je zbierają i śmieją się z właścicielki.

Mąż bardzo cierpi nad jej niestarannym wyglądem i robi cierpkie wymówki.

— Dlaczego — powiada — inne kobiety są zawsze czyste, starannie ubrane, dociągnięte, a ty masz szew od pończochy przekręcony, włosy potargane, dwie pary ust — jedno własne, drugie nad nimi niezdarnie wymalowane, tusz kapie ci na policzki, wstyd wyjść z tobą na ulicę...

Jedna tylko mądra i głęboka kobieta, też pod tym względem przez los prześladowana, znalazła właściwą odpowiedź: — „Ach — odparła na to z bolesnym uśmiechem — na moje urodziny zapomniano zaprosić wróżkę od starannego wyglądu i za karę przeklęła mnie na całe życie. Nic mi już nie pomoże. Zawsze gumka od majtek pęknie mi na ulicy, podwiązka również i rozciągnięta pończocha runie mi bezwstydnie na pantofel lub kapce, loczki świeżo zakręcone rozkręcą się momentalnie, kapelusz w domu wyczyszczony okaże się na ulicy szary od kurzu, pończochy będą się zawsze marszczyły na kolanach, zaś naciągnięte porządnie — pękną. Nie ma, nie ma już dla mnie ratunku...

Rada: nieustająca walka z przekleństwem mściwej wróżki. Nic bowiem nie zraża mężczyzn do nas tak, jak wrodzony nieporządek i brak dbałości o własną osobę...

KOCHA... NIE KOCHA...?

Mężczyźni, a przede wszystkim mężowie, nie bardzo chętnie wymawiają słowo „kocham”. Może uważają, że to w miłości pecha przynosi, a może w momencie wypowiedzania tego tak ciężkiego gatunkowo słowa czują pewne wątpliwości — dość, że bardzo trudno od nich to zwierzenie wydobyć.

— No powiedz, powiedz, kochasz? — nudzi kobieta.

— Yhmmmm — mruczy wśród pocałunków mąż czy kochanek.

— No, ale powiedz... czy bardzo?

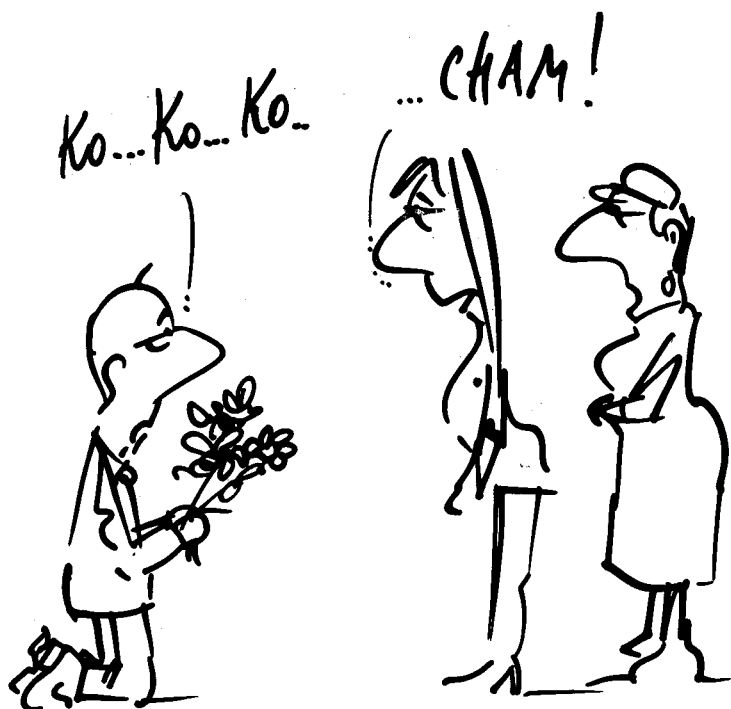
On wówczas namiętnymi pocałunkami daje na to odpowiedź, ale to nam wcale nie wystarcza. Mądre czy głupie, wszystkie kochamy słowa, które się o wiele dłużej pamięta niż smak pocałunków.

Więc jak upewnić się, czy on naprawdę kocha?

Tylko po różnych drobnych i na pozór nieważnych objawach. Gdy na przykład jesteś z nim razem na spacerze i złapie was burza, a on bez wahania ściągnie z siebie marynarkę i niezgrabnie zarzuci ci ją na głowę, okazując tym samym, że jesteś mu bliższa niż własna koszula, która przecież niechybnie zmoknie — możesz być najzupełniej zadowolona.

Drugi pewny objaw, gdy się od znajomych dowiesz, że cię poza twoimi oczami wciąż odmienia: żona, z żoną, żonie...

Najpewniejszym jednak objawem jego uczucia jest... aportowanie. Mężczyzna w wielu rzeczach przypomina psa, a mianowicie pies gdy kocha swoją panią, a jest od małego przez nią do tego przyuczony, to przynosi jej w pysku mnóstwo nieporządných przedmiotów, to kawałek drzewa, to obgry-



ziona kość lub zdechtłą mysz. Kładzie to przed nią na ziemi i miłośnie spogląda jej w oczy, co można by wyrazić słowami: „No cóż, czy jesteś ze mnie zadowolona? — widzisz, jak cię kocham!” Kochający mężczyzna robi to samo. Z dumą wyciąga z kieszeni, na przykład, paczkę gwoździ i kładzie przed swoją panią, mówiąc skromnie: — „Bo zawsze narzekasz, że nie masz na czym powiesić obrazków”. Skromność ofiarowanego prezentu nie zawstydzia go i z taką samą dumą i zadowoloną miną położy przed tobą kilka pudełek zapalek, jak parę gazowych pończoch.

Probierzem jego uczuć nie jest natomiast jego zachowanie, gdy jesteś chora. Bardzo dużo kochających mężów objawia wyraźnie znudzenie, gdy żona zaczyna nie opuszczać łóżka. Poznał ją jako okaz zdrowia, więc jako chora drażni

go i męczy. Gdyby ją był poznał jako chorowitą i taką pokochał, zachowywałby się zupełnie inaczej. Więc kiedy mąż ziewa, gdy nas coś boli, nie bierzmy tego za brak uczucia — naszego psa też okropnie nudzi, gdy jego pani nie może z nim wyjść na spacer albo pofiglować. Za to, gdy nam nic nie brakuje, troskliwość o naszą osobę nie ma granic: — „Uważaj, zaziębisz się, nie pal tak dużo, nie pij, bo ci to zaszkodzi...”

O tego rodzaju drobne troskliwości nie ma się co gniewać lub okazywać, że nas nużą. Pamiętajmy, że kiedyś, gdy nas już nie będzie kochał, będziemy mogły pić, palić, chodzić na mróz z gołą szyją, ile nam się spodoba...

KOBIETA W RAJU

Gdyby nasza pramatka Ewa nie była taką typową kobietką, nie byłby Pan Bóg, jak wiadomo, wysiedlił z raju tę skądinąd sympatyczną parkę. Dialog państwa Adamostwa przed popelnieniem szabru i jabłkiem możemy sobie z łatwością uzmysłwić:

Akt I W Raju

Osoby: ADAM — EWA

EWA (*mizdrząc się*) Ja chcem „jabto”, ja chcem „jabto”.
To właśnie, a nie inne.

ADAM Ewo, uspokój się, wiesz dobrze, że Pan Bóg nie pozwolił nam zrywać właśnie tego jednego jabłka, wszystkie inne możemy sobie zrywać i jeść do woli. To jest owoc zakazany.

EWA (*głosem małego dziecka*) Kiedy Ewunię właśnie nęci owoc zakazany. Dać.

ADAM Dam ci co innego — co zechcesz — (*głaszcząc ją*) może kokosika z kokosowego interesu? A może gruszczykę? No, malutka, bądź grzeczna, bądź milusia.

EWA Milusia nie chce „gluszy”. Chce „jabto”. Dać! Ewunia chce owoc zakazany.

ADAM (*śmiejąc się*) Dam ci „owoc nakazany”, moje dziecko. Chodź, zrobię ci taką małą, malutką małpeczkę.

EWA Do tego to ty jesteś pierwszy. Ani mi się śni. Mam cztery małe małpeczki i nie pragnę mieć ich więcej (*maże się*). Ja chcem „jabto”, ja chcem „jabto”! Buuuuu!

ADAM Psiakrew, z tymi babami. Jak się takiej czegoś zachce... (*Ewa odwraca się i szlocha*) Mój Boże, ale czegoś się dla świętego spokoju nie robi (*włazi na drzewo wiadomości złego i dobrego, zrywa owoc zakazany i podaje go Ewie*). Masz! I przestań wreszcie nudzić.

W tym momencie, rozlega się grzmot, po czym Pan Bóg przez ogromny megafon ogłasza, że państwo Adamostwo mają natychmiast opuścić Raj bez sprzeciwu, bo inaczej spuści na nich bombę atomową. Dodaje również, że Ewa będzie odtąd rodzić dzieci w bólach — a nie jak dotychczas „śpiewająco”. Oboje wobec tego, jak niepyszni, zaczynają szykować się do odjazdu. Głos dodaje przez megafon, że wolno im wziąć ze sobą tylko pięć kilo na osobę. Zrywają wobec tego na gwałt ananasy, kokosy i banany i władują je do plecaków.

ADAM Widzisz, idiotko, coś narobiła. Gdzie my teraz znajdziemy równie dobre mieszkanie. Nigdy by nas Pan Bóg nie był stąd wysiedlił, gdyby nie twoje nieposłuszeństwo.

EWA (*plącząc*) A po coś mnie słuchał? Mężczyzna powinien być zawsze mądrzejszy od kobiety. Zresztą... może tu jeszcze kiedy wrócimy jako repatrianci.

ADAM Nigdy, małego głupia! (*bierze ją za rękę i opuszczają Raj*).

Akt II Po wypędzeniu z Raju

EWA (*mizdrząc się do Adama*) Nie mam się w co ubrać, jak ja się ludziom pokażę na oczy. Musisz mi sprawić nową „sukientę”.

ADAM Jak to? Znów nową suknię? Odkąd wyszliśmy z Raju sprawiłem ci już, chwała Bogu, trzy. Jedną z liści, drugą całą z kwiatów, trzecią z sitowia, no i ten płaszczyk.

EWA (*z gorzką ironią*) Ty to nazywasz płaszczykiem? Wiesz, jesteś paradny. To jest przewiewna szmata, nie płaszczyk.



za kilka tysięcy lat będą takie ludziom przysyłać z Ameryki, zobaczysz. O, spójrz na tę śliczną foczkę, która tak uroczo pasie się na lodowcu, zabij ją i zrób z niej płaszczyk, dla „żoneczki”.

Czy myślicie może, że po zabiciu foki biedny Adam miał spokój? Nigdy w życiu. Zobaczyła srebrne lisy i już skamle: — „Ewunia chce mieć liska, Ewunia musi mieć liska. Dać, dać, dać!” I wówczas Adam powiedział pamiętne słowa: — „Niech już zwierzęta chodzą ze sobą w parze: wydra z foką i lisem” — zabił liska i zrobił z niego wspaniały kołnierz dla żony.

Potem znów zachciało się babie pereł: — „Ewunia chce dzierżyć w dłoni perły i potem zawiesić je sobie na szyję”. I znów biedny Adam musiał dać nura w głębie oceanu i wydostawać stamtąd muszle perłowe. Potem zachciało się jej: złota, diamentów, ptaków kolorowych na głowę, węzów i krokodyli na nogi.

Od tych praczasów nic się nie zmieniło. Ewa urodziła w bólach trzydzieści córek — wypisz, wymaluj podobnych do niej, a my wszystkie to jej pra-pra-pra-wnuczki. Czasem z powodzeniem udajemy człowieka, ale matka Ewa też była komediantką...